

PLUSZCZ

Spółeczność Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 28 MARCA 1931 ROKU

NR. 13

TREŚĆ NUMERU: Za murami — *Janina Strzelecka*. Kto komu pomagał? — *Karolina Bielańska*. Poezje: „Wielki Tydzień“ — *Kazimiera Illakowiczówna*. Leszek (nowela) dok. — *Władysław Rymkiewicz*. Nieśmiertelność w Paryżu — *Jadwiga Kiewnarska*. Nie tak in illo tempore bywało... — *Zofja Miszevska*. Rosalba Carriera — *K. Adamowiczówna*. Nie wypada — *N. J.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Z sali odczytów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Imieniny — *W. B.* Pani i bridge — *Wanda Dobrzańska*. Rola wody w ogrodzie warzywnym (dok.) — *Zofja Wróblewska*. Święta nie za górami — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“: Wiosenne kapelusze — *Well*. Arkusz wzorów.

Z A M U R A M I

Idę sobie właśnie jakąś ulicą Wronią, czy Chmielną, czy zgoła Krochmalną, wszystko jedno, jaką. Wogóle ulicą w Warszawie. Wysokie, ponure domy, domy-klatki, domy-więzienia. Poprzez otwory bramy widać słynne „podwórza“ warszawskie, takie ciemne, że w pokojach od strony oficyny cały dzień niekiedy światło palić trzeba.

Godzina dziesiąta rano. Mimo gwaru ulicznego i jazgotu syren samochodowych, dochodzi charakterystyczny trzask, obwieszczający więźniom takiego domu, że oto odbywa się trzepanie dywanów, kilimów, chodników etc... Przed świętami właśnie. Tu many kurzu, plus mirjady mikrobów, eksmitowanych z „saloniku“, czy z sypialni nazewnątrz. Miota się jedna z niezliczonych Maryś, czy Weronek, uzbrojona w sprzęt, zwany trzepaczką, przyspiewując do taktu: „Już nigdy“... no, a że to jest właśnie tango, więc trzepanie trwa bez końca.

Obok jakieś trio wędrownie gra na skrzypcach z towarzyszeniem tenora nowy „przebój“ z Morskiego Oka; wydziera się jednocześnie ktoś, co kupuje starzyznę. W oknach tej brzydkiej, przesmutnej oficyny dużo twarzyczek dziecięcych. Okna brudne, przydymione; twarze dzieci trochę apatyczne, a raczej osowiałe, przedewszystkiem strasznie blade.

Wpadła w tej chwili na podwórze gromada wyrostków. Zaczynają „w coś“ grać. Aha, w guziki. Ożywiły się twarze widzów, przyplaszczyły o szyby małe noski, otworzyły się lufeci...
1

Jest przecież widowisko, no i lepiej słyhać, co śpiewa podwórzowy tenor. Ktoś rzucił zawinięte w papier groszaki. Pochwycił je jeden z chłopców, grają-

cych w owe guziki, pognął za nim muzykant... gwałt, padają złe, ordynarne słowa. Jakże ożywiły się teraz dziecięce twarze! to już prawdziwa zabawa, prawie teatr. Interwencja dozorczy, lekkie zbiegowisko, wreszcie cisza. Marysia zebrała dywany, chłopcy się rozbiegli, muzykanci powędrowali do sąsiedniej kamienicy. Finish. Galerja opustoszała.

Porozchodziły się dzieci po ciemnych, zawalonych zbędnymi gratami, pokojach i albo się „bawia“ odwiecznymi lalkami, albo czem innym, albo czytają którąś z przedpotopowych „książeczek dla grzecznych dzieci“, albo się nudzą. Myślę, że przez chwilę ogromnie zazdrościły tym wyrostkom, co całkiem, jak dorosli, wpadli na to podwórze; sądzę nawet, że zazdroszczą im jeszcze teraz, myślą o nich, marzą, aby być z nimi...

Z Chmielnej daleko do przestrzeni, nawet do maleńkiej przestrzeni jakiegoś placu, na którym można się wybiegać, wyskakać na swobodzie, zagrać w piłkę, poczuć duszę w mięśniach...

Łazienki, park? Strasznie daleko! samych nie puszcza, zresztą w parku grząskie błoto i może nawet Łazienki zamknięte?

Snuje się dla dzieci z warszawskiej kamienicy codzienny, szary dzień, łańcuch dni, przerywany niedzielą i świętem, kiedy to czasem idzie się do teatru, czasem do kina, czasem w gościnę; a jeżeli nie, to strasznie się dłuży takie niedzielne popołudnie, rozciąga się w nieskończoność, ma nawet jakiś smak, właśnie — kwaśne popołudnie, jak oświadczyła kiedyś moja mała znajoma.

Teatr, kino? To także jedno wielkie nieporozu-

mienie, to niekiedy również bardzo smutne nieporozumienie te kina, czy teatry dla naszych „milusińskich“, której to obrzydliwie już natrętnej i wyświechtanej nazwy nadużywają na afiszach, zapowiadających „niebываłe, feeryczne, dotąd niewidziane“ etc. różni przygodni przedsiębiorcy teatralni, traktujący te imprezy pod kątem doraźnej korzyści osobistej.

Byłam kilkakrotnie w owych teatrach „dla dzieci“. Ileż tu błazeństwa, zamiast prawdziwej radości i humoru! ileż brzydoty i tandeciarstwa, taniej, cyrkowej hałaśliwości!

Dawna bajka, taka już dziś spłowiła, obrzydła, o Tomciu Paluchu, czy o kocie w butach, o Jasiu i Małgosi, czy wogóle „rewja“ dla dzieci z brudnymi girlsami, z karłami, „cudownymi“ dziećmi... Ileż tu brzydoty gestu, brzydoty słowa! jaki triumf święci tu wulgarność i tania sensacja!

Widziałam takie przygodne teatry i na prowincji — zupełnie to samo.

No, a kino? Tu jest lepiej, a raczej byłoby lepiej, gdyby nie część rewjowa przed takim programem dla dzieci. Ta część rewjowa, taka często mieszana z pornografią z tupetem — to doprawdy zmora dla tych nielicznych rodziców, którzy chcieliby nie potrzebować się wstydić przed dziećmi za wyuzdanie dorosłych.

Ogół rodziców? Bezkrytyczny, nieprawdopodobnie bezkrytyczny! Przecież te wszelkie „poranki“ dla dzieci bywają przepelnione i nikomu na myśl nie przyjdzie, że deprawują zmysł artystyczny, niekiedy i uczucia moralne dziecka... Nie interesują się sprawą tych przedstawień żadne wogóle czynniki powołane; trudno i prawie niepodobna poruszać jej na łamach prasy codziennej, bo przecież teatryki owe suto płacą za anonse. Słowem, rzecz przedstawia się niewesoło i na tym odcinku.

Myślę sobie właśnie o tem wszystkim w okresie zbliżających się świąt, przypominają mi się czytane książki i broszury, omawiające sprawę konieczności zakładania choćby placów do zabaw. Porównywan, ile metrów kwadratowych wolnej przestrzeni przypada na głowę jednego mieszkańca w takim Detroit na przykład, a ile u nas. Stosunek ten przedstawia się mniej więcej, jak jeden do czterdziestu na naszą niekorzyść. Myślę sobie wogóle o naszych „prywatnych“ dzieciach w stolicy. Myślę o usilnem i skwapliwem zabudowywaniu kaździutkiego wolnego metra w śródmieściu, o powolnem znikaniu takich cudnych parków, jak Frascati; myślę o tych zaledwie paru parkach, do których można się dostać w krótszym czasie, wreszcie o trudności wydostania się poza miasto. Właśnie teraz, gdy nadchodzą dwa tygodnie ferij, gdy dzieci po kilkumiesięcznym pobycie w izbie szkolnej tak bardzo są spragnione ruchu, sportu, rozrywki...

W mniejszych miastach sprawy te przedstawiają się napewno lepiej, niż w stolicy; tylko, czy ro-

dzice, owi starsi wogóle, uznają prawo dziecka do życia i wyzycia się w najlepszym tego słowa znaczeniu? Wyzycia się w sensie wyładowania w radości ruchu, w poczuciu fizycznym całej swojej istoty? Czy nie ograniczają całą siecią zakazów i nakazów, czy nie uniemożliwiają wprost niekiedy zadokumentowania owej samodzielności fizycznej? „Weź szalik, włóż kalosze, zapnij się pod szyję, koniecznie sweter pod palto! Pamiętaj, abyś mi za półtorej godziny był w domu, bo miałeś w czasie świąt powtarzać grama tykę!“

I tak bez końca, bez miary sączą się słowa matki, która nie rozumie, niestety, że chłopiec, po zatrzaśnięciu drzwi za sobą, zerwie ów znieawidzony szalik, bo przecież widział w ostatnim numerze „Przeglądu sportowego“ fotografię narciarzy, którzy byli bez tych tam swetrów, a poprostu w koszulkach gimnastycznych. No i wróci za te półtorej godziny, i co z tego? U rodziców goście, nudno zresztą, panowie grają w bridge'a, niektóre panie także, a reszta siedzi na kanapie i ziewa. I pocóż mu kazali wracać? Zasiadł gdzieś w kącie, utopił nos w książce i tyle tego. A tak cieszył się, że w święta będzie jakoś inaczej...

Szynki, kielbasy, mazurki, babki, lepsze jedzenie przez ten cały czas? To jedno tylko, a wogóle wszystko tak, jak zawsze... Zresztą, cały dzień jeść nie można.

Gdyby ci „starsi“ spróbowali z nim porozmawiać, no, zapytać go choć, jakie to są teraz zawody międzynarodowe, zainteresować się tem... Ciągłe tylko podkpiwają, że jego, to tylko sport obchodzi. A sami? Przecież jedyna ich przyjemność — to bridge! Niechby tak ojciec poszedł z nim w te święta choćby, raz jeden na całodzienną wycieczkę za miasto, niechby spróbował raz tylko pójść na stadion, albo do pływalni... Skoro teatru niema, w kinach program dla dorosłych, no, to co on ma właściwie robić? Kwaśne popołudnie.

Ile to takich „kwaśnych popołudni“ będzie w czasie tych świąt! jak oddziela się szczerze murem obcości zainteresowań „starsi“ od dzieci i młodzieży, jak nieistotną okaże się niekiedy... istota tradycji w sensie święta rodzinnego!...

To, co piszę, to nie artykuł, ani feljeton: to są refleksje, może z pozoru smutne, ale nie beznadziejne. To może raczej wezwanie do rewizji, do odnowienia naszego stosunku do dziecka... w takie niedzielne, czy świąteczne popołudnie; do zastanowienia się nad jego strawą duchową, bo nastrój „rodzinny“, święcone, piśanki — to już za mało.

Trzeba się zbliżyć do dziecka, żyć z nim, jako równym nam, tylko młodszym człowiekiem; trzeba zstąpić z piedestału autorytetu, nadzianego zakazami i nakazami, podejść jak do kolegi i towarzysza; zburzyć mur przesądów między młodymi i starszymi. Inaczej konflikt wzajemnego niezrozumienia się dwu pokoleń z latami pogłębi się i zaostrzy.

Janina Strzelecka.

KTO KOMU POMAGAŁ?

My, kobiety, mamy wciąż z panem Stanisławem Wasylewskim na pieńku. To znaczy: uważamy go za człowieka niewdzięcznego. My go tak pasjami lubimy czytać! każdą jego książkę chwytny z ciekawością i rozkoszą, a on nam najczęściej dokucza. Elegancko, delikatnie, ale dokucza i to nietylko w specjalnie satyrycznej książeczce: „O siedmiu duszach kobiecych“. W każdym prawie jego studjum, czy to się tyczy „Pań wytwornych“, czy skromnych literatek — niewiasta, którą weźmie pod lupę swej obserwacji, wyjdzie, jak gaska oskubana, choć innym wydawała się śnieżną łabędzią.

W tytule nawet kryje się żądełko. Choćby w tym ładnym szkicu o księżnie Wirtemberskiej p. t. „Kto napisał Malwinę“. Dalibóg, że, przeczytawszy wywody autora, człowiek (a właściwie kobieta) zastanowi się chwilę: — Może doprawdy Fredro? — Ale potem z kobiecym uporem powie sobie (jeśli jest małopolanką): A *taki* księżna Marja! Bo gdyby nie była stworzyła w głębi swej duszy romansowej, smutnej i szlachetnej tego smutnego i szlachetnego romansu — Fredro, ani żaden inny „miły wisus“ nie miałby czego tłumaczyć i korygować i — gdyby to inne pisało pióro — nie miałby do tego ani weny, ani czulego westchnienia.

Ale pointe'a tkwi, jak nieraz w liście kobiecym (w czasach, gdy kobiety pisały listy), na samym końcu, prawie w przypisku.

Ten apel do polonistek, aby wertowały stare szpargały i zagłębiały się w subtelnosci „wpływo-logji“ poto, aby wykryć, ile też zawdzięcza niejedna nasza „znana i ceniona“ autorka — pomocy męskiej, z delikatną insynuacją, że rodzynki i migdały w owej kaszce na mleku, jaką bywa twórczość kobieca, sypnął zapewne hojną i łaskawą dłonią jakiś uprzejmy a utalentowany „pomocnik“ (piosenka gitarowa w romansie księżnej Marji?).

Kazać kobietom, aby same znosiły kamienie do swego ogródka! — Gdybym była *młodą* polonistką, podjęłabym chętnie ten trud, ale wykonałabym go *à rebours*. Ponieważ mam za sobą już wiele lat „katorżnej“ pracy archiwalnej i niejednej niespodzianki dokopałam się w poblakłych kartkach rękopisów, daję młodszym koleżankom gorącą radę: — Posłuchajcie wezwania naszego najsympatyczniejszego gawędziarza i świetnego essayisty! Wgłębiajcie się w tajemnice wpływo-logji, biorąc pod uwagę stosunek obu płci. I stwierdźcie, czarno na białym, ile to bezimiennej, bezinteresownej, mrówczej pracy kobiecego in-

telektu wsiąkło w twórczość wielkich i znanych! Ile siostr, żon, przyjaciółek, córek dawało najlepsze swoje siły, nienazwane, niedziękowane, niesławione, aby utrwalić, scementować, wygładzić dzieło mężów, ojców, kochanków?

W tej chwili nasuwa mi się tylko przykład z obcej literatury, ale dość jaskrawy. Chateaubriand, ów „Czarodziej“ (Enchanteur), podbijający tyle serc niewieścich swym melancholijnym urokiem, był najmniej miły dla swej własnej żony. Kiedy jednak starzejący się poeta wpadł w kłopoty finansowe i musiał — dla chleba — sprzedać przedwcześnie pamiętniki, które nazwał „Zagrobowemi“ (Memoires d'Outre-tombe), nie zawahał się, by wypełnić luki swej pamięci, zaczerpnąć pełną garścią z — pamiętnika swojej żony. Całe karty są jej pióra. Nikt, zachwycając się ostatniem dziełem wielkiego pisarza i admirując może właśnie te kobiece karty, nie wiedział o „pożycze“. Dopiero czas, bezlitosny (a może właśnie litościwy dla zapoznanych) korektor, wykrył tajemnicę i oddał sprawiedliwość biednej wicehrabinie, dotąd postponowanej w życiorysach męża i wspomnieniach jego przyjaciół, jak np. V. Hugo, jako wereda, dewotka etc.

Mogłabym jeszcze zacytować Joannę Carlyle, ofiarną żonę wielkiego historyka i najnieznośniejszego z mężów, która uczyła się języków starożytnych, aby mu być tłumaczką; Marję Pascoli, poetkę dużej miary, która cały swój talent poświęciła zmuśnej rekonstrukcji, uzupełnianiu i wydaniu dzieł zmarłego wcześniej brata, Giovanni'ego, znakomitego liryka włoskiego.

Z Polek nasuwa mi się narazie pani Joanna Szajnochowa, pomocnica ślepego męża, wielkiego naszego historyka, i Zofja Węgierska, która, jak to nam w „Paryskiej Sofjówce“ opowiada Aura Wyleżyńska, zaczęła swą twórczość literacką od pisania artykułów do „Czasu“ w zastępstwie męża. Ale szukajcie, młode polonistki, szukajcie, a znajdziecie.

Znajdziecie może w archiwach bruljony odezw i proklamacyj Rządu Narodowego, pisane przez założycielkę „Bluszczu“, Ilnicką, dla brata Jana Maykowskiego w r. 1863. Znajdziecie może ukryty trud Narcyzy Żmichowskiej w pracy konspiracyjnej lat 48 i będzie to jej drugi „Renesans“.

A pracę nad wykryciem pomocy męskiej w dziełach kobiet zostawcie — młodemu polonistom. Oni to, „na złość“ kobietom, lepiej wyczynią, a my — będziemy się potem z nimi spierać. Prawda zaś, będzie zawsze pośrodku.

Karolina Bielańska.



KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA.

WIELKI TYDZIEŃ

*Brakuje mięsa i chleba i szczęścia,
Wiatr niesie tuman, piasek w zębach chrzęści,
powieki przypieka...
...Tłoczy się człowiek pół głodny przy szybie,
patrzą z wystawy krągłe oczy rybnie
przez wodę i przez szkło ...zdaleka...*

*W domu — lecz domu niema... Przy kominie — lecz węgla brak —
Czeka... lecz nie czeka nikt! Odeszli, i zginął ślad.
W sercu... lecz tam niema nikogo. U drzwi — lecz drzwi są zamknięte.
Na Święta... Lecz teraz jest Post. Nie wiadomo, kto dożyje do święta!*

*Jutro jest Palmowa Niedziela. Nie gotów radosny psalm.
Przez kroitnące gałęzie, przez gęstwę rzucanych pod nogi palm
już słyhać stapanie zbrojne, już wyrok Sanhedryn ogłasza,
i Piotr poryna za miecz... i spełnia się pocałunek Judasza.*

*Pojutrze jest Wielki Tydzień. Lecz serce jest dlań za ciasne...
Był ogień Wielkoczwartkowy, lecz niepodsypany zasnął.
Była ciężka droga pod górę, osurwanie się Krzyża z ramion.
I był Grób... I przyszedł Anioł i słyszeliśmy jak rygłe łamie!*

*O daj Boże zamiast mięsa i chleba, zamiast igrzysk, odzienia i węgla
— byśmy skrzydła archaniołowe do ramion opadłych wprzęgli.*

LESZEK

Novela.

4)

Bolesnym wysiłkiem myśli sędzia usiłował pojąć, jak to jest: krew z krwi... Chłodny, wyćwiczony dyscypliną prawniczego myślenia umysł krajał z pasją wytarte i zużyte pojęcia: „syn“ — „ojciec“ — „matka“... Zimny lancet analizy rozdarł zaskorupiałe naskórki pojęć i obnażył ukryte, odwieczne nałogi uczuciowe i nawyki myślowe, wyrosłe z grubych, pierwotnych instynktów.

Pojęcie „syn“ okazało się lichą umową, czczym frazesem, nędznym konwenansem społecznym. „Syn“ był sztucznym, fałszywym tworem i nie różnił się niczem od pierwszego lepszego chłopaka z ulicy. „Matka“ (Tola) była głupią samiczką o ptasim mózgu i zwierzęcych popędach.

Człowiek rozumny wyrasta umysłem z niewoli ciemnych instynktów i w samotności znajduje wyzwolenie. Przerażliwa jasność myśli odsłoniła głupotę i nędzę gwałtu, zadawanego w imię „ojcostwa“. Trzeźwy aż do bólu umysł podyktował ojcu decyzję: temu dziecku trzeba zwrócić wolność. Jeżeli zechce, będzie mógł stąd odejść i nie wrócić więcej... Wszakże — niechaj to powie ojcu sam.

Serce bić przestało, skurczone z trwogi, a myśl, strącona w otchłań rozpacz i przerażenia, znowu nie mogła pojąć, nie mogła objąć nagiej pustyni życia bez tego jedyne dziecko. I niemęskie uczucie bez-

silnej żalości podszeptowało: niech to sam powie ojcu!... Niech wyda na ojca wyrok!

Łukiem obwisłych ramion pochylony ku ziemi, sędzia ważył w myślach zmienny ciężar rzeczy cierpienia: szarpiących zwątpień i złudnych nadziei.

O jakiejś chwili wstał. Właśnie ponury wydźwięk zegara ogłosił — dziewiątą. Wówczas, złamany, pośpieszył przez głuche mieszkanie ku wiadomym drzwiom. W przedpokoju, na wieszaku, odnalazł jasne palto syna; musnął je pieszcotliwie ręką, uśmiechając się boleśnie skroś swoją mękę piekącą i czczość serdeczną. Czapkę z zielonym lampasem, małe, gimnazjalne kepi zdjął z wieszaka i przycisnął do serca, tuląc w marzeniu jasną głowę swojego jedyne dziecko, której nigdy nie było mu danem przycisnąć do piersi.

Łoskot, czy turkot jakiś daleki wtargnął z ulicy i wtrząsnął senną ciszą mieszkania. Sędzia, zacząjony za drzwiami, nasłuchiwał długo: starał się wyłowić jakiś szmer lub poruszenie w pokoju chłopca... Lecz nic nie mógł posłyszeć. Za drzwiami panował niezmacony, drętwy spokój.

Nacisnąwszy klamkę, pchnął nerwowo drzwi, które ustąpiły powoli bez skrzypnięcia. W pokoju były podniesione rolety, i Leszek nie spał. Leżąc nawznak, z głową odrzuconą w bok i z otwartymi sze-

roko oczyma, utkwionemi w suficie, nie zauważył wejścia ojca.

Dopiero, gdy sędzia wystąpił na środek pokoju, Leszek obrócił wzrok w tę stronę i uniósł się gwałtownie, do połowy ciała na łóżku.

— Dzieńdobry — powiedział ojciec, próbując się uśmiechnąć.

Nie było odpowiedzi. Leszek z rozczochranemi włosami, w koszuli rozpiętej na piersi, patrzył na ojca ze zdumieniem i nieufnością.

— Przebudziłem cię?... — zagadywał rozpaczliwie sędzia, usiłując przełamać milczenie syna.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, usiadł na krześle i spojrział w przestrzeń za oknami, byle gdzie... Bława mgielka snuła się w oddali nad dachami w bezkresie modrego nieba. Tak zapatrzony, zacisnął konwulsyjnie ręce opuszczone między kolanami i nagle spytał zdławionym głosem:

— Coś robił wczoraj wieczorem?

Dusząca cisza przygniotła ojca i syna.

Leszek, spłoszony, odwrócił się twarzą do ściany, unikając wzroku ojca, który na to westchnął głęboko i, dysząc ciężko, mówił z żalonym sarkazmem:

— Nie dotrzymujesz umowy, moje dziecko!... A tak!... Nie dotrzymujesz umowy względem ojca! Ukrywasz różne sprawy przed ojcem!... To nieładnie!... A mieliśmy jednak być przyjaciółmi... — głos ojca załamał się, sędzia nie dokończył zdania. „Mieliśmy jednak być przyjaciółmi!“ — naśmiewał się hałaśliwie szatan, i w całym pokoju huczało od tej diabelskiej ironji.

— Tymczasem dowiaduję się — podjął ojciec, pobladły ze wzruszenia — dowiaduję się, że mój syn bywa potajemnie w obcym domu...

Twarz chłopca stężała w osłupieniu. Słuchał, nie zdejmując teraz oczu z ojca.

— I nie raz, nie dwa!... Pani Eysbunttowa...

— Ojciec dowiedział się o tem od mamusi? — wybuchnął Leszek, pełen zdumienia i rozpacz. — Ojciec...

— A nie! Nie od mamusi! — cedził z goryczą sędzia. I opuściwszy wzrok, wyjaśnił niepewnie, jakby z zawstyżeniem: — Przypadek zdarzył, że spotkałem cię... tam... w bramie.

Drżącymi palcami przebrał brodę.

— Co mamusia powiedziała ojcu? — wyszeptał Leszek bez tchu.

— Co mi powiedziała?... A powiedziała!... Powiedziała mi, że to nie pierwszy raz... Że oddawna już... oszukujecie tak starego ojca... wyrządacie mi taką krzywdę.

Sędzia wzburzony potrząsnął głową, niby na znak protestu. Mówić nie mógł. Jeszcze raz potrząsnął głową, wyrażając tym niemym gestem, że — nie zgadza się, poczem zaczął mówić z uniesieniem:

— Powiedziała mi, że podobno wybierasz się zagranicę... z niemi!... Nic o tem nie wiedziałem. Bo podobno mieliśmy jechać we dwóch...

Leszek odwrócił głowę do ściany i wyrzekł niewyraźnie:

— Gdyby mi ojciec pozwolił jechać...

Sędzia skurczył się z bólu, gniewu i rozpacz. Ten chłopak był bez sumienia.

— Więc mógłbyś tak ojca zostawić samego? — zapytał surowo. — Byleś tylko sam mógł jechać...

Stanowczym ruchem ręki przekreślił ten niewczesny pomysł.

— Nie! nie mogę ci na to pozwolić! Żałuję bardzo, ale nie mogę...

Leszek zawiedziony spojrział z podoba na ojca:

— Dlaczego ojciec nie może mi pozwolić? — spytał głucho, z gniewem.

— Dlaczego? — słowa zamarły ojcu na ustach.

— Tak, dlaczego? — powtórzył Leszek natarczywie.

Sędzia nie odpowiedział. Nie mógł mówić. To matka odzywała się ustami syna, matka, która poduszała syna przeciwko ojcu... Uczuł się obrażony śmiertelnie. Matka objawiała się w synu z djabelską mocą przez swój tajemny wpływ, przez znowę i zdradę. Uniesiony rozpaczą i nienawiścią, postanowił zgnieść, zdusić tę przekłątą, zdradziecką moc, postanowił upokorzyć i podeptać matkę w jej synu, w swoim synu. Z trudem hamując wzburzenie, odezwał się drżącym głosem:

— Pytałeś mnie kiedyś, dlaczego właściwie rozeszliśmy się z matką?...

Wytrzymał pauzę ciszy pod błędnym, wyciężonym spojrzeniem syna. Trzęsącą się ręką głośną zmierzwioną brodę.

— Twoja matka uciekła, poprostu z domu z Eysbunttem...

Leszek ścisnął konwulsyjnie w rękach brzeg kołdry.

— To nieprawda — wykrztusił.

— Owszem, to prawda! — zaprzeczył twardo ojciec. Myśl gryząca, jak dym: „matki broni“... wypełniła głowę zamroczeniem do utraty pamięci. — Uciekła z domu! — powtórzył, nie mogąc pohamować nienawiści. Pamiętał niewyraźnie, że przecie miało być zupełnie inaczej. Rozmowa miała być utrzymana w innym tonie. Należało tylko zapytać, jak się właściwie rzeczy mają, należało wy badać Leszka spokojnie, bez gniewu, bez uniesienia.

— Uciekła... Nic nie zmieni tego faktu... Jak również nic nie zmieni faktu, że twoja matka jest złą, lekkomyślną, zepsutą kobietą!

Twarz chłopca, oszpecona grymasem męki, zapłonęła krwią.

— Dlatego nie mogę ci pozwolić jechać z niemi. Nie mogę dopuścić, żebyś ulegał szkodliwym wpływom... Szkodliwemu wpływowi matki...

— Ojciec nie ma prawa odzywać się tak o mamusi! — jęknął Leszek, blednąc i płonąc naprzemian. — Ojcu nie wolno...

— Proszę cię, nie rób mi uwag. Sam wiem, co mi wolno, a czego nie... Atmosfera tamtego domu jest zupełnie nieodpowiednia dla młodego chłopaka. Matka, otoczona rojem przyjaciół, myśli tylko o zabawach...

— Niech ojciec przestanie! To nieprawda!

— Stroje!... dancingi!... flirty!... Oto jest życie twojej matki — mówił sędzia urągliwie.

Leszek odrzucił kołdrę, zsunął się z łóżka.

— Niech ojciec w tej chwili przestanie! — rozkazał głosem, nabrzmiałym od narastającego w piersi szloch. — Niech ojciec... — trząsł się cały w przystępie rozpacz i buntu.

Sędzia wstał. Zapamiętały w bólu, prawie bezprzytomny na widok zwycięstwa, jakie święciła tamta, nieobecna a triumfująca w synu.

— Niewdzięczny!... Matki bronisz! — wykrzyknął z uniesieniem. — Tylko dla ojca nigdy nie miałeś serca!... Nigdy nie okazałeś ojcu choćby cienia wdzięczności!... za to, że cię wychował, że się tobą opiekował... Pewniebyś mnie tak przed matką nie bronił?! O, ja wiem!... ty nie kochasz swojego ojca!... — zawołał wielkim głosem rozpacz. — Ty nie... — przerwał i wtył się cofnął, jak pod gwałtow-

nem pchnięciem. Twarde, mściwe słowa syna godziły, jak kamienie, w czoło, w pierś, w serce samo.

— Żeby ojciec wiedział, że nie! Nie Kocham! Ojciec nie ma prawa odzywać się tak o mamusi! To ojciec torturował mamusię...

— Ja?... ja?!...

— Sama mi to wczoraj mówiła! Wczoraj mi powiedziała wszystko!...

Leszek, syn, we łzach, z zaciśniętymi pięściami stał przed ojcem.

— I ja nie chcę dłużej być u ojca!... Żeby nie wiem co... Nie chcę!... — wołał w spazmie płaczu. — Ani chwili dłużej tu nie zostanę!... nie chcę!... I wyjadę z mamusią!... wyjadę!... wyjadę!...

Obrócił się, zatoczył na łóżko, twarzą upadł na poduszki i zaniósł się konwulsyjnym płaczem. Sędzia ręce wyciągnął, przybliżył się do łóżka. Z wyciągniętymi rękoma i skurezoną z bólu twarzą nachylił się nad dygocącym, wstrząsanym spazmami płaczu ciałem dziecka. Chciał objąć, chciał uspokajać.

Nieludzki, histeryczny krzyk dziecka: — Niech

ojciec odejdzie ode mnie!... niech ojciec się do mnie nie zbliża!... — odepchnął ojca od łóżka.

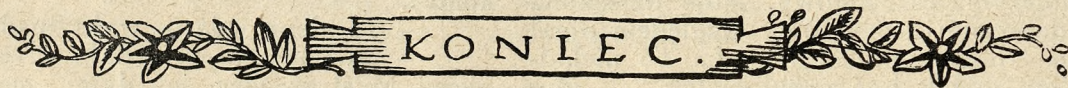
Sędzia opuścił pośpiesznie pokój.

Żalodne, dziecięce łkanie, raniąc niemal fizycznie uszy ojca, przedzierało się przez drzwi na korytarz. Sędzia przywarł twarzą do ściany i, drżąc z bólu i rozpaczy, mówił bezprzytomnie do muru: „Żeby ojciec wiedział — nie Kocham“... I wyjedzie! Ani chwili dłużej nie zostanie...

Nic już nie było do uratowania. Nie zostało nic. Dół, ciemnica grobowa pochłonęła żonę i syna — syna — syna... Spadzisty pion sześciu zębatach pięt wyrósł przed oczami i śmiertelnym zębem przejął serce. Przestało bić, uciszone, drętwe, w niewysłowionej lasce przeczuwanego spokoju...

Sędzia ze ściśniętym gardłem, błędny, wyciągnawszy ręce, kroczył przez korytarz — do mieszkania — z jednego pokoju do drugiego — przez szereg pokoi — które otwierały się — jeden po drugim — puste — zimne — milczące — głuche...

Władysław Rymkiewicz.



NIEŚMIERTELNOŚĆ W PARYŻU

(od specjalnej korespondentki)

To brzmi paradoksalnie, ale to jest właśnie tak. Paryż — stolica mody, kolebka cudacznych efemeryd, które popularność rozdyma i zabija, ten sam Paryż, kapryśny i zmienny, ma przecież w swej atmosferze jakieś tajemnicze składniki, które konserwują i przechowują myśl, dzieło, indywidualność twórczą, w skarbcu wieczności — żywe, wszechdostępne i niezmiennie bliskie.

Nie wiem, czy dobrze się tłumaczę? Ostatecznie, wszędzie wbija się w utrudzone mózgownice dzieci w wieku szkolnym, daty śmierci i narodzin wielkich ludzi, nazwy bitew, które wygrali, oraz tytuły arcydzieł, które stworzyli. Nazywa się imionami tych ludzi ulice i stawia się im na skrzyżowaniach ulic bronzowe pomniki. W Paryżu tak samo, jak gdzieindziej.

Tylko, że tu te wszystkie marmury i bronziny nie zastygają martwe w tłumie obojętnych przechodni, mijających je tak, jak się mija latarnię lub szalet miejski, tylko żyją; żyją wśród niegasnącej miłości i niesłabnącego zainteresowania, i tych, co z wszystkich krańców świata zjeżdżają się do Ville-Lumière, aby poznawać i podziwiać, i tych, co obcuja z tym ogromem zabytków na codzien, z niezmienną tkliwością dnia powszedniego, jaka zwykła łączyć szczęśliwe małżeństwa i rodziny.

Tu, świetna przeszłość, ciężka martyrologją i bohaterstwem, zdaje się chadzać z nerwową, wiecznie pędzącą przed siebie, współczesnością, pod rękę, z pełną poufałości sympatją. Kult wielkich ludzi jest żywy, intensywny. Wiele nieboszczyki mają swoich entuzjastycznych zwolenników, którzy zawiązują kółka, by móc w należytem skupieniu uwielbiać swoich mistrzów; mają też i zaciętych przeciwników; poto zapewne, aby mieli jak najdalej idące złudzenie życia, w swej nieśmiertelności. Stendhaliści poznają się

w tłumie obojętnych zapomocą cytaty, wyjętej z „Rouge et Noir“ lub „Chartreuse de Parme“, jak masoni za okazaniem trójkątnego pierścienia. Balzakiści celebrować zbiorowe czytania dzieł twórcy „Ludzkiej Komedji“ tak, jak się odprawia nabożeństwo. Aurora Sand, wnuczka i imienniczka wielkiej George Sand (Aurory Dudevant), stała się żywym pomnikiem swej sławnej babki i istnieje tylko poto, aby przez szereg wydawnictw i fundacyj pomnażać jej pośmiertną sławę.

I nikt tego nie uważa za manję, za dziwactwo, w najlepszym razie nieszkodliwe. Nie, każdy to rozumie i szanuje.

Profesor dykcji z gronem adeptów sztuki dramatycznej, wpada w rodzaj transu, upojony melodją wierszy Racine'a, zapomina o miejscu i czasie, przedłuża lekcję w nieskończoność... choć jest przecie praktycznym francuzem, dobrze znającym wartość czasu i cenę pieniądza, jego ekwiwalentu.

Tłumy badaczy siwowłosych i bezwłosych, uczonych i artystów, studentów i profesorów europejczyków i azjatów, żyją tu o chlebie i czarnej kawie, gnieżdżą się po poddaszach hotelików, aby móc wertować stęchłe pergaminy w „Bibliothèque Nationale“ i po latach trudu dogrzebać się wreszcie jednego słowa, rzucającego nowe światło, lub nowy cień, na wielkiego człowieka, będącego centrum wszystkich ich zainteresowań.

W noc zimową i dżdżystą odprowadzał mnie po herbatce u gościnnej polskiej dziennikarki młody literat rumuński i mówił ze mną o pani de Stael tak, jakby ją znał osobiście i to od dziecka. Deszcz lał, jak z cebra. Oboje znaleźliśmy źle Paryż i błędziliśmy od policjanta do policjanta, prosząc o wskazówki i idąc nieomylnie w przeciwnym kierunku. W rezultacie prze-

moczyłam nogi i złapałam tęgi katar, ale zato dowiedziałam się napewno, że płochy Benjamin Constant, pisząc swego „Alberta“, nie zamierzał bohaterką romansu uczynić pani de Stael (jak przypuszczano dotychczas), tylko niejaką lady Lindsay. Mój rumun żywił z tego powodu do niewiernego kochanka Korinny urazę tak silną, że nie odczuwał ani zimna, ani wilgoci. Piękna to rzecz — entuzjizm!

I błogosławiony klimat psychiczny, w którym taka miłość i kult dla talentu są na porządku dziennym. Trudno się wobec tego dziwić, że ci, których Paryż raz ukochał, żyją wiecznie po śmierci, a za życia nie starzeją się wcale. Że dla sześćdziesięcioletniej Sary Bernard Rostand pisał specjalnie rolę dziewiętnastoletniego Orlecia. A kiedy miała już lat osiemdziesiąt i jedną tylko nogę, Paryż jeszcze przybiegał ją podziwiać w roli młodego, wożonego w fotelu, neurastenika. To nie perwersja: to wzruszająca wierność podziwu i sentymentu.

W tej, jedynej w swoim rodzaju, paryskiej atmosferze może sześćdziesięcioletnia Mistinguette zachwycać zadzieraniem za głowę swych absurdalnie pięknych nóg i nieprawdopodobnym skrzekiem, a czcigodna Cecile Sorel, ze wzrastającym wciąż przez pół wieku powodzeniem, czarować w rolach moljerowskich kokietek i współczesnych „femmes fatales“.

Proszę się tylko nie oburzać takim pomięszaniem wielkości i jakości! To jest właśnie Paryż. Tu wszystko istnieje obok siebie i nie sobie wzajemnie nie zawadza.

— Il y a de la place pour tout le monde, messieurs, dames! — jak wołają konduktorzy metra i uprzejmi garsoni, zwinnie obsługujący publiczność przy ladach narożnych barów.

Style i epoki gromadzą się tu i nawarstwiają, nie niszcząc się i nie utracając. Louvre Napoleona nie zmniejsza i nie gasi Luwru Ludwika. A majestatu i potęgi muzeum-palacu w niczem nie zmniejsza najbliższe sąsiedztwo Galeries de Louvre, gdzie pod kolumnadą gnieźdzą się wystawy gorsetów, szklanych paciorków, oraz wyprzedaje bucików, torebek i gotowego ubrania.

Srebrzysta mgła, w jakiej od rana kapie się Paryż, zanim jej o zmierzchu nie rozświetlą i nie upstrzą tysiączne zapalone latarnie, reflektory i jaskrawe, wielobarwne reklamy świetlne, owa mgła srebrzyście-perłowa przedziwnie prędko pokrywa szlachetną patyną gmachy i pomniki nowoczesne i nie pozwala im rażąco odbijać od starej, szerniałej, a miejscami zbiełalej, jakby osiwiałej architektury.

Nowożytny, pełen realistycznych szczegółów, pomnik, symbolizujący uwolnienie Alzacji, doskonale się komponuje z otoczeniem posągów antycznych; nie drażni ani Prometeusza w łańcuchach, czekającego na sępa w patetycznym napięciu mięśni, ani wspianiałej Pallas Athene, dumającej w posępnym skupieniu nad napoleońskim orłem.

Każda myśl piękna, każdy poryw szlachetny znajduje tu swe odbicie, utrwała się na wieczność, zaklęty w bronz lub marmur, w olbrzymim Panteonie nieśmiertelności, jakim jest Paryż. Oto na ścianie gmachu Jeu de Paume zarysowała się w płaskorzeźbie tragiczna śmierć Edith Cawell, ofiarnej siostry miłosierdzia, rozstrzelanej przez Niemców. A tam znów, na zielonym gazonie (tu gazon w początkach lutego jest zieleni, niż u nas w kwietniu) bardzo brzydki i niezmiernie sympatyczny pomniczek bajkopisarza Perrault. Dookoła biustu jegomościa we fryzowanej, moljerowskiej peruce, tańczą zachwycone dzieci, z boku stoi rozkoszny kot w butach, w pozie i stroju dumnego gaskona. Jedno z okien pałacu Jeu de Paume — to właśnie, znajdujące się nad brązową peruką w loki — jest zamalowane orłem polskim, dość niefortunnie stylizowanym, niestety. Nie wiem, czemu ten nasz symbol narodowy, będący doprawdy sam w sobie niezgorszym motywem ornamentacyjnym, jest zawsze jaśkoś dziwnie źle wyzyskany?

Na ławeczce przed gmachem, z doskonałym lekceważeniem otoczenia, całuje się młoda para. Widok, na paryskiej ulicy nader zwykły. Na ławeczce sąsiedniej, dobroduszny francuski ksiądz odmawia brewiarz. Kto wie? może będzie potrzebny? Aby zachować nieśmiertelność, ludzkość musi się odradzać.

Jadwiga Kieronska

NIE TAK IN ILLO TEMPORE BYWAŁO...

Aczkolwiek czasy Władysława IV-go prawie wiek cały dzieli od owych „popuszczania pasa“, które ponoć Sasów w Polsce po wiek wieków wślawiły, pomimo to, wiele musiał sobie zapewne nałamać głowy kuchmistrz imci pana Sapięhy z Dereczyna, zanim wygotował Święcone, którego opis do dziś jeszcze krąży, jak legenda, po pismach starych i wspominkach.

Niejednej dzisiejszej gospodyni, deliberującej mocno nad jaką taką szynką i babką, spędza sen z powiek myśl o onych 4 przeogromnych dzikach, 12 jeleniach, 52 ciastach i plackach i 365 babkach, które ongi pyszniły się na Święconym stole pana Sapięhy, świadcząc niezbitnie o idealnych apetytach naszych pradziadów.

I żebyż to choć zwyczajnie mięsiwo na srebrnych lub cynowych misach ułożono, sosem alabrys polano i roznoszono wśród zaproszonych, ale nie: kuchmistrz, z zagranicy sprowadzony, wszystkie one dziki, i jele-

nie, nadziawszy z ręcznie co pomniejszą zwierzyzną i ptactwem, jako żywe na stole poustawiał, ucieszne teatrą gościom i gospodarstwu czyniąc. Nikt tedy już nie patrzył na serwis srebrny, dumę pana Sapięhy, nikt się nawet konewek i baryłek z winem i piwem nie imał, jeno podziwiali kunszt podania i przemyślność cudzoziemca.

Należy jednak przypuszczać, że one konwie i baryłki w długim zapomnieniu nie ostawały, boć to i kompanja wcale grzeczna była i okazja do wypicia godna, jako że Wielka Sobota, po rezurekcji. Post coprawda, aczkolwiek solennie przestrzegany, nie zakorkował butelek i beczek szpuntami nie zabił, ale już przystojność nakazywała pić z większym opamiętaniem i obrazy Boskiej, z nadużycia trunków płynącej, unikać. Tak przynajmniej głosiły co mędrsze księgi, jak „Postylla Katolicka“ — Księdza Wujka, lub Rejowy — „Żywot Człowieka Poczciwego“.

Ale teoria, a praktyka, z tradycją sprzęgnięta,

jak wiadomo, nie zawsze w paragon ze sobą idą: księgi świętobliwe mówiły swoje, a swoje opowiadają nam dziś jeszcze żale i narzekania przeróżnych poetów i rymopisów. I tak np. imię Kasper Miaskowski, człek Boga miłujący i po Kochanowskim najprzedniejszy poeta, tak pisze o poście swoich czasów:

Co gotują węgorze, śledzie, szczuki w soli,
Wizinę, łosoś, karpie brzuchom na post gwoli,
Ci nie myślą potsiwie z ciałem wstąpić w szranki,
Ale kuflem dwuuchem szlamować chcą dzbanki,
Bo jako to nie mogło nigdy być bez wody,
Niż je z niej wyciągnęły konopne niewody,
Tak po śmierci codziennie brzydzą się nią zasie,
Ale piwo i wino każą nosić na się.

Jak widzimy z onego wiersza, nietylko trunkami w poście bawiono się niezgorzej, ale i o jedzeniu dobrze pamiętano, przyrządzając je tylko gwoli przystojności, na oliwie lub oleju. Nic to, że panowie bracia pożegnać się musieli z ulubionym bigosem hultajskim, z „gęsią czarną“, a szczególnie z wyżej wspomnianym sosem „alabrys“, na którego ugotowanie zużywano całą gołęń wołową, pieczeń jedną i drugą, ćwiartkę cielęciny, ćwiartkę baraniny, kapłona jednego i drugiego, słoniny karwasz i wreszcie rozmaitych jarzyn wiele; nagradzali to sobie rybami, na różny sposób przyprawianymi, a przytem, co gospodarniejsze niewiasty wymyślały różne postne potrawy, aby się tylko panom mężom za mięsiwem zbyt nie cknęło.

Takiem więc ulubionem podaniem były naprzykład grzanki chleba, suto smarowane oliwą i kminikiem z cukrem obsypywane, lub tak zwane „mnichy“, czyli obwarzanki, które z kuchen klasztornych początek wzięły. Krajało się je w kostkę, parzyło wrzątkiem na sitku blaszanem i polewało masłem z cebulą. Dawni pamiętnikarze, pisząc o tych delicjach, aż ślinkę łykali...

Aleć nie zawsze i nie we wszystkich domach solennie post obchodzono; tam, gdzie białogłowa była lekkomyślniejsza, a pan od zastawionego stoła nierad wstawał, czyniono tak, by była i Bogu świeczka, i diabłu ogarek. A mianowicie niedość było ryb, w winie z korzeniami gotowanych, niedość wymyślnych pistacyj i pineli, ale gotowano ryby na mięsnym smaku, kładąc do karpia pod spód słoninę, gwoli większej zawiesistości.

Jak potem, przy spowiedzi, pan, a szczególnie pani, w piersi się bili, i jak rozgrzeszenie dostawali — nic nam o tem wiadomo; tyle jeno, że w kościele być i spowiadać się musieli, i to wspólnie z dworem i czeladzią, bo tak obyczaj święty nakazywał.

Wówczas, ani pani atlasowemi jubkami i złotemi noszeniami nie należało świecić, ani panu sobolami i spinkami drogocennymi. W kościele w Wielki Post obowiązywał ciemny strój i skromność wielka. Że to kiedy poniektóra podwika na urodziwego rycerza zerknęła i chusteczkę upuszczoną podnieść pozwoliła, lub że (co się raz we Lwowie przydarzyło) z pod kościoła rycerz pannę porwał i uwiózł, to nawet wspominać nie warto, bo takie rapta zawsze się wydarzały i wydarzać będą.

Zresztą, gdzie grzeczna panna mogła spotkać się z miłym, jeśli nie w kościele? Dalekie jeszcze były czasy Saskie, gdy kobiety po salonowych pawimentach rej poczęły wodzić, albo późniejszy okres króla Stasia, który przyniósł pośledniejszego gatunku francuską obyczajność. Teraz, ławy były drewniane, tyle, że kobiercami kryte, dwory nakształt warownych for-

tec budowane, a w onych fortcach pilnie zamknięta cnota panińska. Dobrze, jeśli która panna, na fraucymer królowej jejmości dostawszy się, galarę i gonionego z dworzanami tańczyć się przyuczyla, przy czem i o porozumienie łatwiej. Insze dziewczęta, w zamku za fosami i częstokołami ukryte, tyle jeno miały okazji, co w kościele, boć wszelkie inne, jak chrzciny, wesela, alibo całorodzinne wyjazdy na sejm do stolicy, rzadko się przytrafiały.

Prawdziwie przystojność kościelną obrażali żacy, naród wielce niespokojny. Zaczynało się w Wielką Środę, gdy po odprawieniu jutrzni ciemnej księża uderzali psalterzami i brewjarzami o ławki. Wówczas chłopcy, naśladując ich, tłukli kijami z całej mocy, a potem bałwana ze słomy ustroiwszy za Judasza, wlekli go po ulicach, na kawałki rozszarpując. Gonil za żakami kościelny, a nieradko i sam ksiądz pleban, zakasawszy rewerendy, ale gdzie im tam brzeg! Pobiegli dalej, ciesząc się, że do Wielkiej Niedzieli jeszcze śledzia na drzewie powieszą i garnek z niepotrzebnym już żurem rozbiją. A potem oczekiwany dyngus!

W Wielką Niedzielę natomiast obowiązywało solenne wesele, strój godny i zastawa stołu co wspanialsza. Komnaty niewieście, które w każdym najskromniejszym nawet dworze musiały się znajdować po lewej stronie sieni, pełne były naówczas świegotu babskiego i szelestu kolorowych szmatek. Niedawno z Włoch przywiezione jedwabie i atlasy bawiły oko, a cóż dopiero, kiedy kształtna niewiasta owe cuda na siebie nałożyła, bramkami*) i klejnotami przypstrzyła, a lice upiękniała barwiczką! Umiały białogłowy dobrać sobie kolor i krój odpowiedni, a poeci tamtowieczni znowu w lament nad rozrzutnością niewiast i wymyślnością ich strojów uderzą.

Nawet imię pan Chryzostom Pasek, żołnierz, nie filozof, i zagranicą bywały, i białogłowy gładkie lubiący, tak w swych pamiętnikach pisze o modzie:

„Jest to wielka lekkomyślność narodu naszego i wielkie stąd pochodzi zubożenie. Mógłbym tego ubioru mieć na cały wiek i dzieciomby się dostało, kupiwszy raz u cudzoziemców, aż tu za rok i przedziej, nie moda, nie tak zażywają, więc psuj, przerabiaj, albo na tandetę daj, a inne spraviaj, bo musiałbyś się w nim chyba tylko między domowemi ścianami prezentować, ale między ludzi wyjechawszy, to się dziwiają, jak wróble na sowę patrzają, palcem skazują i mówią, że ten ubiór pamięta potop“.

Tak oto pisał pan Chryzostom, ale białogłowy jakoś nic sobie z tego nie robiły, jeno radowały się nową modą i coraz inaksze jubki, letniczki i trzewiczki safjanowe przywdziewały. Taka już wielka była ich lekkomyślność i gwoli niej zapewne w komnatach niewieścich kraty w oknach zawsze były, że to niby o rapt, albo i o dobrowolną ucieczkę panny, albo nawet mężatki nietrudno.

Czy te kraty były potrzebne, okazało się w niespełna sto lat, gdy ostatnie lata panowania Sasów zamieniły ławy na wyściełane meble, misy srebrne i cynowe na farfury, i gdy na każdym stole musiały się znajdować... bukszpanowe wykałaczkę po tynfie setka.

Wtedy to zniknęły także kraty z okien niewieścich.

Bowiem cnota, strzeżona kratą, niewiele jest warta, i „in illo tempore“ nie było znowu zawsze tak idealnie...

Zofja Miszewska.

*) bramka — stroik na głowę.

ROSALBA CARRIERA

Historja zapomnianej malarki weneckiej XVIII w.

Ojczyzną Rosalby Carrieri jest Wenecja, Wenecja ginąca, a tak zapatrzona w dawną świetność i potęgę, że nieświadoma bliskiego kresu. Żądza zabawy i użycia jest jedynym celem tych spadkobierców wielkiego imienia Rzeczypospolitej Weneckiej.

Nietylko wypadki polityczne, ale i obrzędy religijne dostarczają okazji do nowych zabaw. Każdy uroczysty obchód narodowy przestaje być aktem potęgi państwa: staje się bezmyślną, pstrą zabawą, msza — operą, klasztor — miejscem spotkań towarzyskich.

Muzyka — wszędzie: na wąskich uliczkach i kanałach, na gondolach w noc ciemną i na placu św. Marka w niedzielne południe.

Z wszystkich stron świata zjeżdżają się do Wenecji ludzie, żądni uciechy. W ślad za tłumem gości przybywają: aktorzy, kuglarze, astrologowie i inni cudotwórcy.

Sztuka wenecka jest wiernem odzwierciedleniem pustoty, barwności i wdzięku współczesnego życia. Wprawdzie Tiepolo, naśladowca Veronesa, jest epigonem wielkiego cinquecenta, a romantyk Piranesi opuszcza słoneczną ojczyznę dla ruin Rzymu, ale Wenecja ma jeszcze tylu innych artystów, że zdołają oni odtworzyć całe jej życie czarowne. Canaletto i Guardi uwiecznią na swych obrazach Wenecję, skąpaną w słońcu, zatopioną w sinych mrokach wieczoru, namalują ją całą — od św. Marka aż do Lagun i rozrzuca jej wdzięki po świecie od Londynu do Petersburga i od Rzymu do Warszawy. Pietro Longhi subtelnym pendzlem opowie życie weneckiej damy

i jej „cicisbea“, zaprowadzi do cudownego lekarza i domu gry, a Rosalba Carriera (1675—1757), najstarsza z pokolenia artystów weneckich w. XVIII, sportretuje ówczesną elitę. Uwieczni to pokolenie bezduszne, żadne zabawy i użycia, kobiety uszminowane, zalotne, mężczyzn w koronkowych żabotach.

Twórczość Rosalby jest doskonałym wyrazem psychiki pokolenia z pierwszej połowy XVIII w. — to też artystka cieszy się wielką sławą wśród współczesnych. Charles Coypel, syn dyrektora Akademii Francuskiej, nazywa ją: „Antoine Corrège dit aujourd'hui Rosa Alba“, a Pierre Crozat, francuski mecenas sztuki, pisze: „Vos ouvrages ne sont pas de moindres trésors que ces belles antiques“. Antoine Watteau pragnie posiadać dzieło jej rąk, ofiarowując wzamian jeden ze swych obrazów.

Niepojęty dla nas, entuzjizm XVIII w. dla dzieł Rosalby da się wytłumaczyć brakiem zainteresowania ówczesnych ludzi dla głębszych problemów w sztuce. To pokolenie, tak wrażliwe na piękno, zadowolnia się dekoracyjnością, świetnym kolorytem, wirtuozostwem techniki. A właśnie te zalety cechują pastele Rosalby.

O sławie artystki świadczy nietylko fakt, że najznakomitsi ludzie współcześni pragnęli być przez nią portretowani, ale także i to, że była ona członkiem Akademii Rzymskiej, św. Łukasza, Akademii Francuskiej i Akademii Bolońskiej.

Tradycje artystyczne przyniosła Rosalba we krwi, ojciec jej był malarzem-dyletantem, a najmłodsza siostra Giovanna utalentowaną minjaturzystką.

Jako młoda dziewczyna, Rosalba rysuje wzory do koronek, wyrabianych przez jej matkę. Gdy moda na koronki przemija, Rosalba w poszukiwaniu nowego źródła zarobku, za namową francuza Jean de Heve, zaczyna malować minjatury do tabakierok, tak modnych w owym czasie.

Biografowie Rosalby wymieniają kilku jej nauczycieli, ale żaden z nich nie był malarzem wybitnym, to też trudno doszukać się jakichkolwiek wpływów obcych w jej twórczości.

Przez wiele lat Rosalba maluje minjatury, bardzo przez współczesnych cenione, jednakże talent jej dochodzi do pełnego rozkwitu dopiero w malarstwie pastelowym. I tym razem cudzoziemiec — Anglik de Colle — podsuwa Rosalbie myśl wypróbowania sił w nowej technice. Sława Rosalby-pastelistki wychodzi daleko poza granice Wenecji i Włoch. Znakomici cudzoziemcy, bawiący w Wenecji, odwiedzają artystkę w jej pracowni, prosząc o namalowanie portretu. Do najświetniejszych gości Rosalby należą: Christian-Ludwik, ks. meklemburski, Maksymiljan i Karol ks. bawarscy, wreszcie król duński Fryderyk IV i August III, król polski. Cudzoziemcy ci zamawiali nietylko swoje własne portrety, ale także podobizny piękności weneckich, z procuratessą Mocenigo na czele.

Szczególną sympatją cieszą się portrety Rosalby w Paryżu. Jeden z jej francuskich przyjaciół, wspomniany już Pierre Crozat, ofiarowuje jej gościnę w swoim paryskim pałacu. Pobyt Rosalby nad Sekwaną jest prawdziwym triumfem; przez jej pracownię przesuwa się cały elegancki świat paryski, począwszy od małoletniego króla Ludwika XV i regenta ks. Orleańskiego, kończąc na zubożonych „bour-



Rosalba Carrieri: „Hrabina Orzelska“.

geois". Wesołe życie paryskie, triumfy artystyczne, nawał pracy znużyły Rosalbę, to też z radością powraca do cichego domku na calle „cent'anni“.

Wezwana przez ks. Rinalda d'Este do Modeny dla sportretowania trzech młodzianek księżniczek, wraca po kilku miesiącach do Wenecji, żeby następnie udać się do Wiednia, gdzie uczennicą jej jest cesarzowa.

Ostatnich dwadzieścia lat spędza Rosalba w Wenecji. Są to najsmutniejsze lata jej życia; śmierć zabiera najdroższe jej istoty — matkę i siostrę Giovannę. Rosalba pracuje dalej, aż spotka ją cios ostatni, najcięższy — całkowita utrata wzroku. Od tej chwili przeżyła artystka jeszcze jedenaście lat.

Życie Rosalby, jako kobiety jest mniej szczęśliwe; obdarzona talentem malarskim, zdolnościami muzycznymi i wielką inteligencją, ta kobieta wyjątkowa nie znalazła szczęścia w życiu uczuciowym. Pozbawiona urody i wdzięku, idzie przez życie samotnie, wprawdzie ma licznych przyjaciół, ale jedyne jej uczucie serdeczne — miłość dla Antonia-Marii Zanetti'ego — pozostaje bez wzajemności. W życiu Rosalby jest pewien rozdźwięk — jako artystka jest ona typem dzieckiem XVIII w., jako człowiek wydaje się obcą wśród frywolnej elity weneckiej i paryskiej. Wyniesione z domu zasady moralne czynią ją obcą epikureizmowi XVIII stulecia. Jakiś cień melancholji ciągnie się przez życie tej kobiety, o której pisał Pierre Crozat: „Vous qui n'avez rien de faiblesse de la femme et qui valez mieux que cent hommes“.

Dzisiaj sława Rosalby Carrieri należy do przeszłości.

Największy zbiór jej pasteli (liczący przeszło

150 dzieł), w Galerji Drezdeńskiej, ginie wśród licznych arcydzieł. Znaczenie Rosalby polega przede wszystkim na tem, że podniosła ona malarstwo pastelowe do godności wielkiej sztuki. Wprawdzie La Tour, Perroneau, Liotard dali dzieła więcej skończone pod względem wyrazu, jej jednak należy się palma pierwszeństwa.

Wśród bogatej spuścizny artystycznej Rosalby najlepsze są portrety i one właśnie, a nie obrazy religijne uczyniły artystkę sławną. Portrety kobiece Rosalby na szarem tle, pełne wdzięku, przepiękne w kolorycie, choć wadliwe w rysunku i bez głębszego wyrazu, dają nowy ideał piękności kobiecej. To daleko idące idealizowanie portretowanej nasunęło Juljuszowi Hübner dowcipne nazwanie portretów Rosalby „kredkowemi ideałami“ — powiedzenie to doskonale określa słabą stronę dzieł Rosalby.

Z portretów kobiecych do najpiękniejszych należą: arcyksiężniczki Marji Józefy, późniejszej żony Augusta III Sasa, cesarzowej Amalji i śpiewaczki Faustyny Hasse-Bordoni. Wśród mniej licznych portretów męskich na uwagę zasługuje portret Abbé Metastasia. Miękką, ale pełną szlachetnego wyrazu twarz włoskiego poety nie była łatwą do sportretowania, a jednak Rosalba stworzyła dzieło doskonałe nie tylko pod względem techniki, ale także i wyrazu, co należy do rzadkości w jej portretach kobiecych.

Jedyna uczennica Rosalby Felicita Hoffmann-Sartori, malarka nadworna Augusta III Sasa, przeniosła sztukę swą mistrzyni do Drezna. O artystce tej historia milczy, z dzieł jej przechował się jedynie autoportret, wskazujący na to, jak silnie ulegała Felicita wpływom Rosalby. K. Adamowiczówna.



NIE WYPADA

— Ale to przecież chyba groźba wojny ta kolej?

— Jaka kolej? Gdzie?

— Ach, słyszałaś napewno. Tuż nad granicą.

— Przepraszam, w którym miejscu i kto buduje?

— *Gdzieś tam* (!) koło granicy bolszewickiej, nie wiem; bolszewicy chyba budują, a może my? Nie pamiętam.

Bądź, interlokutorze, teraz mądry z tej wiadomości! Utrzymaj temperament, aby nie powiedzieć impertynencji, przywołaj zdolności pedagogiczne, aby wytłumaczyć, że co innego linja kolejowa zwykła, co innego strategiczna, a jeszcze co innego *groźba wojny*, i znowu ugryź się w język, aby nie pouczyć, że człowiek, który wyszedł z niemowlęctwa, powinien znać granice swego państwa i wiedzieć, gdzie to mianowicie jest obiekt, o którym mówi.

Bo okazało się ostatecznie, że chodziło o linję Śląsk — Gdynia!

Z linji tej wyrazili swe niezadowolenie Niemcy, niezadowolenie zresztą znacznie więcej handlowe, niż strategiczne.

Moja rozmówczyni (ma pretensję do inteligencji) coś przeczytała, coś usłyszała, resztę pomięszała i wyszedł „Kara Mustafa, wielki wódz Krzyżaków“.

Powie kto: przykład jaskrawy. Trudno, ręczę, że autentyczny; gorzej: mogą takich autentyków jeszcze sporo wyliczyć.

Jednym z rezultatów, najfatalniejszym, takiego ujmowania spraw jest narastanie plotki, jak lawiny, ale nawet nie o tem chcę mówić. Temat to tak znany, dyskutowany tylokrotnie i tak wyjaśniony, że trudno coś dodać; chodzi o co innego: abstrahując od rezultatów samej plotki, jako takiej, przecież to poprostu ubliża godności i rozumowi nie orjentować się w codziennych zjawiskach życia.

A fakty te są, niestety, częste i, poraz drugi, niestety! częstsze u kobiet.

Trudno, może obrażą się Szanowne Czytelniczki (wierzę zresztą, że tylko w imię solidarności kobiecej, bo napewno niema w ich liczbie takich przykładów), nie mogą zrzec się swego przekonania, opartego na długiej obserwacji. Mężczyzna, nawet niewykształcony, nawet mało inteligentny, nie odezwie się w ten sposób. Popierwsze, zawsze czyta nie tylko więcej, ale uważniej, zapamięta, jeśli nie dokładnie, to w przybliżeniu logicznem, i nie powtórzy, o ile nie wie zupełnie, o co chodzi. Chyba, chyba, gdy chce zrobić plotkę.

Z ŻYCIA EKRANU

(Na polskim froncie — bez zmian, na zachodnim — idziemy naprzód).

o, bo to panowie umieją, to inna sprawa; ale jeśli z dobrą wolą przystępują do rzeczy, to jednak... mądrzej.

Kobieta zachowała jeszcze w dużej mierze wdzięk nieświadomości z zasady. Naturalnie słyszała, interesuje się. Dokładność? Właściwe nastawienie? Poco? Od tego są fachowi mężczyźni.

Nastawienie to sięga zresztą najgłębszymi swymi korzeniami daleko i głęboko: był czas, kiedy kobieta nie mogła, nie powinna była wiedzieć. Czas, kiedy musiała, doskonale nieraz orjentując się, o co chodzi, krążyć zdala, omijać jądro sprawy, udawać nieświadomość, aby jej powiedziano, aby wogóle zechciano z nią mówić.

Istnieją, podobno, plemiona, w których kobiety używają swego odrębnego języka. Dzieje się tak, z jednej strony dlatego, że dialektu rzeczonoego nie rozumieją mężczyźni; z drugiej, że nie wypada kobiecie wymawiać niektórych dostojnych, mądrych wyrazów, używanych przez mężczyzn.

Niech nas to zbytnio nie dziwi: starsze (przepraszam!) nawet wcale nie najstarsze, czytelniczki napewno pamiętają, czy uchodziło dawniej (wcale nie tak dawno, jeszcze i na kilka lat przed wojną), aby np. młoda panna, a nawet wogóle kobieta używała w rozmowie zwrotów fachowych, wojskowych, politycznych, czy innych; więcej: żeby taką rozmowę prowadziła? Otóż to są pozostałości tych właśnie czasów i to rzecz możemy na usprawiedliwienie nasze; ale co innego bezstronna ocena przyczyn, a co innego przeciwdziałanie złym wynikiem. Przeciwdziałać trzeba koniecznie.

Wymaga tego i poczucie posiadania, współwłasności rzeczy publicznej, wynikające z własnego, niepodległego bytu i obowiązków względem niego. Pamiętam, jak przed wojną jeden z wybitnych obrońców politycznych powiedział: zawsze mam największy kłopot, gdy o obronę kogoś z rodziny zgłasza się kobieta. Żadnej dokładnej wskazówki, gdzie szukać sprawy: policja? żandarmerja? ochrana? prokurator? Dla pań to wszystko jedno!

Wtedy jednak było to w istocie wszystko jedno: co kogo właściwie obchodziły obce władze i ustrój wrogiego państwa? Dziś wstydem jest nie wiedzieć, co to jest państwo, a co sejmik; jaka różnica zachodzi między autonomją a decentralizacją; przed kim odpowiedzialni są ministrowie; jaki jest zakres działania i kompetencje władzy ustawodawczej i wykonawczej; kto buduje koleje, a kto zawiera układy dyplomatyczne, i tysiąc innych rzeczy.

A tymczasem naogół nietylko tego nie wiemy, ale ileż razy zdarza się taki fakt: kobieta przychodzi, lub telefonuje do urzędu, biura, redakcji, jakiegoś, jednym słowem, dużego resortu. I zamiast zapytać: z kim mogę porozumieć się w danej sprawie? zaczyna od razu opowiadać szczegóły, nie zastanawiając się, czy słucha woźny, czy dyrektor, lub maszynistka! Tego właśnie rozkładu życiowego na szerszą skalę musimy się nauczyć, bo większość bzdurstw mówionych, lub popełnianych wynika raczej z nieświadomości tych spraw, niż nawet z właściwego nieuctwa.

Nauczmy się Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej; przeczytajmy od czasu do czasu popularną książkę o ekonomji społecznej i politycznej; czytamy dzienniki i tygodniki, darując życie wypadkom i sensacjom, a zwracając więcej uwagi na sprawy polityczne, społeczne i gospodarcze, a wtedy napewno nie wybudujemy „groźnej wojny“ linii kolejowej, „koło bolszewickiej granicy“, między Śląskiem a Gdynią!

Bo to już doprawdy nie wypada.

N. J.

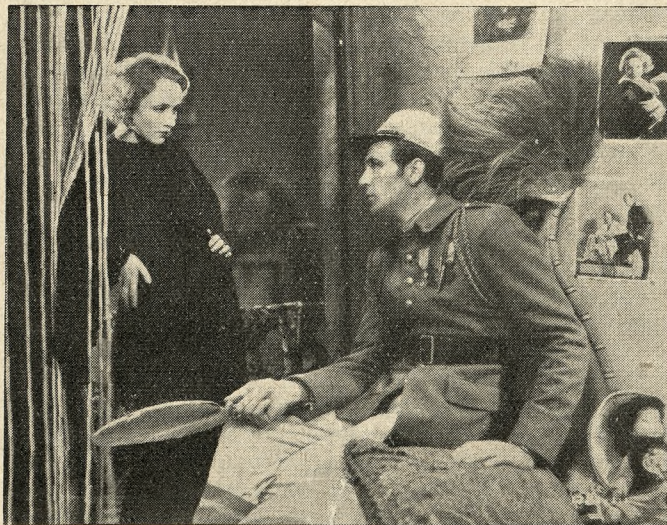
Mowa, oczywiście, o froncie filmowym. Ostatnie biuletyny brzmią dla nas niepomyślnie. Dobra „passa“ na polskie filmy skończyła się. Jeszcze niedawno wyrażaliśmy na tem miejscu zadowolenie, że film polski rozwija się i nabiera krwi; można było mieć nadzieję, że wkrótce ukaże się jakaś komedja, albo film kameralny, albo nawet — kto wie? — może i eksperymentalny...

Nadzieje te zawiodły na całej linii. „Serce na ulicy“ (wg. powieści Kiedrzyńskiego, reżyserja Gardana) przekonało nas, że producenci nie chcą przekroczyć zaklętego koła tematów, które uważają (zresztą — niesłusznie) za jedynie „kasowe“, dając najzdolniejszemu reżyserowi do opracowania scenariusze, w których nietylko ci nie mogą się wypowiedzieć, ale które są wręcz obce rodzajowi ich talentu. Reż. Gardan, który debiutował przed paru laty w „Kropce nad i“, jest stworzony do realizacji filmów kameralnych, subtelnych, poetycznych; tymczasem każą mu robić naturalistyczne kryminalno-szpiegowskie „romanse“. W rezultacie dostajemy jeszcze jeden film poprawnie banalny, o którym niema nic do powiedzenia, prócz skonstatowania, że naszą jedyną prawdziwą gwiazdą filmową jest Nora Ney. Ta kobieta ma to, co się nazywa „nerw“, ma temperament rasowej aktorki, — wyczucie ekranu, umie się ubrać i umie się w tych strojach ruszać.

A teraz — „Uwiedziona“ (scen. An. Sterna, reż. Waszyńskiego). Na filmie uwiedziona jest Malicka, na widowni — publiczność, ofiara polskiego 100% „talkies’a“, który ma tylko tę jedną przewagę nad zagranicznymi, że jest dla wszystkich zrozumiały. Pocóż było puszczać się na rodzaj, który wszędzie już bankrutuje — nie wiem! Na to, żeby dać namiastkę teatru, scenariusz jest zbyt naiwny i banalny. Wartości kinowych nie ma żadnych. Jako film propagandowy (walka z handlem żywym towarem) — zupełnie mija się z celem. Całą imprezę trzeba uważać za chybioną. Smutne jest to, że najulubieńszymi tematami naszych producentów są najciemniejsze strony życia i... zawsze te same. Przeszłość — moskale, żandarmi, „policmajstry Tagie jewy“, kozacy, więzienie i t. p. Teraźniejszość — kryminaliści, szpiegowie, domy publiczne, meliny złodziejskie, handel żywym towarem...

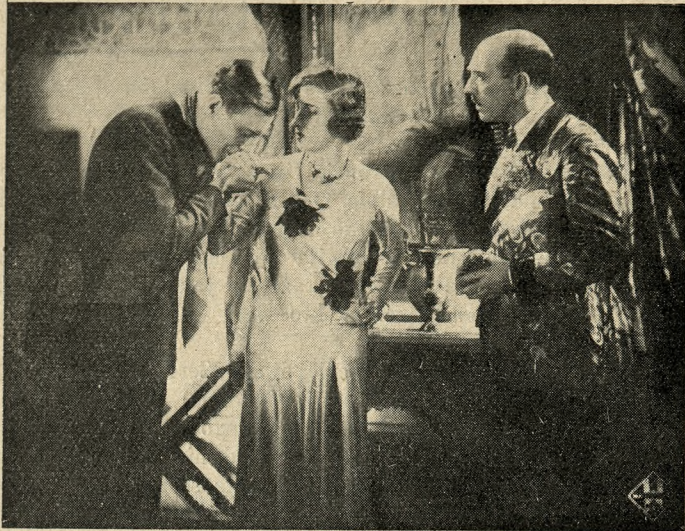
Dosyć! Prosimy o zmianę!

Zato jeżeli chodzi o filmy zagraniczne, w tej chwili jest w czem wybierać — wszystkie rodzaje i wszystkie tematy: woj



Scena z filmu „Marokko“.

(Photo-Paramount).



Scena z filmu „Złodziej miłości”.

na i pokój, Marokko i Paryż, Ameryka i Europa, Verneuil i Remarque, dramat i farsa...

Zacznijmy od Remarque'a. Przeróbka filmowa jego słynnej książki „Na zachodzie bez zmian”, po długiej kwarantannie w cenzurze, została nam nareszcie pokazana. Nie będziemy mówili tu o ideologicznej stronie filmu, gdyż jest ona zbyt ogólnie znana. Za największą jego zaletę należy uważać to, że nastrój książki oddany jest z przedziwną wiernością. Nie jest to tylko jakiś pacyfistyczny film, lecz właśnie — Remarque. W filmie — jak w książce — mamy tę samą prostotę i bezpośredniość, brak wszelkiego patosu, patrzenie z tego samego dystansu na śmierć, cierpienie, bohaterstwo, co i na zwierzęcą potrzebę jada i snu.

Pod względem techniki, w żadnym z filmów wojennych nie pokazano nam tego, co reż. Millestone. Zdaje się chwilami, że sami jesteśmy na polu bitwy w promieniu padających pocisków. Co za szczęście, że na dźwięki nałożono tłumik; wzrok prędzej może znieść tak okrutny naturalizm, słuch zbudowałby się przeciw temu wojennemu piekłu. Gra aktorska — ponad wszelkie pochwały; są to właśnie ci ludzie, których znamy z książki i których wcale nie mogliśmy wyobrazić sobie inaczej. Okrutny sierżant Himmelstoss, i dobroduszny chudzielec Tjaden, i dostawca „prowiantów”, opiekun rekrutów Kaczyński, i tyłu, tyłu innych starszych, młodszych i prawie dzieci, którzy muszą walczyć i ginąć, chociaż wcale... „nie są na nieprzyjaciela obrażeni”.

Ameryka przysyła nam jeszcze inny film „popisowy” — *Marokko*, za który jednak laury przypadają w głównej mierze Europie: reż. J. v. Stombergowi i Marlenie Dietrich. Z małemi wyjątkami, wszystkie amerykańskie filmy na tle Afryki mają zabójczo stereotypową fabułę (szeik i córka angielskiego generała, w różnych kombinacjach) i równie stereotypowe ujęcie (walki z arabami, karawana na tle pustyni i t. p.). Trzeba było dopiero europejczyka, coprawda nieprzeciętnego reżysera, ażeby zdjąć z Afryki to amerykańskie „zakłęcie”.

W filmie „Marokko” znów spotykamy się z czemś, co się nie da ująć konkretnie w słowa, a co wpływa na stworzenie tej właściwej egzotycznej atmosfery, która owiewa film i udziela się widzowi. Oddychamy tem dziwnym, niezdrowym powietrzem, powstałem z zetknięcia dwóch obcych sobie światów — powietrzem specyficznym „kolonialnym”.

Ten niepokojąco-drażniący nastrój jest jakgdyby prologiem, na którego tle ukazuje się bohaterka. Oryginalność scenarjusza stanowi to, że gdy wykojeńcami, pragnącymi zacząć nowe życie w innej części świata, są zazwyczaj mężczyźni, tutaj jest kobieta. Wiemy, od czego chciała uciec — od mężczyzny i od miłości, i wiemy, przed czym uciec nie zdoła: właśnie miłość czyha na nią tam, gdzie się jej najmniej spodziewa, i miłość bę-

dzie jej grobem. Za bramą miasta, którą przekracza, udając się za ukochanym na pustynię — zostawia konflikt swej skomplikowanej europejskiej duszy, ale czy brama ta poprowadzi ją ku wyzwoleniu?...

Stomberg pozostawia nas w niepewności. Ostatnim obrazem, jaki nam pokazuje, nie jest człowiek, lecz właśnie tylko obojętna na ludzkie cierpienia, bezkresna, wieczna — pustynia...

Pomimo wielu djalogów, które, z natury rzeczy, rozwekają tempo filmu, daje on duże bogactwo materiału wzrokowego i podnosi znów do dawnych wyżyn znaczenie gry mimicznej. Marlena Dietrich może tu w całej pełni rozwinąć swój kunszt aktorski. Najgroźniejsza dziś rywalka Greta Garbo, przewyższa ją skalą talentu, który pozwala jej na odtwarzanie tak odmiennych ról, jak cynicznej kabarecistki z „Niebieskiego Anioła” i bohaterki „Marokko”, przeżywającej w naszych oczach skomplikowany dramat.

„Marokko” przekonywa nas raz jeszcze, że przedewszystkiem mistrzowie filmów niemych (do jakich zaliczamy Stomberga) potrafią wybrnąć szczęśliwie z niebezpieczeństw dźwiękowców i nie pozwalają się ograbić z dorobku X Muzy, gromadzonego z takim trudem.

Jednakże, ażeby tworzyć nowe wartości w dziedzinie filmu dźwiękowego, trzeba pracować w Europie. Patrząc na wyniki współpracy w tym kierunku różnych narodów, doznaje się wrażenia, że wszelkie antagonizmy polityczne, narodowe i rasowe są już tylko mitem.

Ostatnio przyglądamy się takiej idylli niemiecko-francuskiej w „Złodzieju miłości”. Nie jest to już tylko powierzchowna współpraca, jaką znamy oddawna w państwie Filmji, polegająca na „wypożyczaniu sobie” aktorów. Tutaj jest coś więcej: wzajemna wymiana przyrodzonych narodowych, czy rasowych uzdolnień. Z jednej strony Verneuil (scenarzysta) — francuska lekkość, błyskotliwość, dowcip; z drugiej H. Schwarz (reżyser) — niemiecka doskonałość techniczna, umiejętność udoskonalenia każdego pomysłu, muzykalność i zrozumienie ciężaru gatunkowego dźwięku. Jakim cudem ci dwaj ludzie umieli stopić wartości czysto teatralne typowej bulwarowej francuskiej farsy z efektami optyczno akustycznymi — jest to ich tajemnica.

Scenarzysta musiał zrezygnować z wielomowności, a reżyser nie tylko nie pozwolił djalogującym bohaterom na trwanie w bezruchu, ale pomyślał o muzycznej rytmizacji ich gestów, w czym go idealnie wspomógł kompozytor. Wejście na schody pięknej pani, skradanie się lokaja, dźwięki i ruchy mechanicznych zabawek — wszystko to jest świeże w pomyśle i doskonale w wykonaniu. Nic dziwnego, że „Złodziej miłości” zdobył nie tylko serce Blanche Montel, ale również niemniej kapryśny — serce widzowi.

Stef. H.



TEATR NOWY.

„Mam prawo odejść” — komedia w 5 aktach W. Somerset Maughama. Przekład i reżyserja Ryszarda Ordyńskiego. Dekoracje W. Drabika.

Anglicy mają odwagę spojrzeć rzeczywistości prosto w oczy, i wypowiedzieć prawdę bez ogródek i bez oglądania się na konsekwencje. Ta odwaga myślenia niekonwencjonalnego daje im wyższość nad rasą romańską i słowiańską w dziedzinie

filozofji i polityki, wszędzie tam, gdzie o zwycięstwie decyduje bezwzględność i brutalność.

Bezwzględnie i brutalnie rozstrzygnięty jest przez Maughama problem rodziny; jego okrutne, już nie chirurgiczne, ale rzeźnicze cięcia odsłaniają wszystkie rany wewnętrzne, jakie toczą zdrowy pozornie organizm rodzinny.

Jesteśmy świadkami przykrego procesu wiwisekcji, ale kto wie, czy nie jest ona najwłaściwszą drogą do postawienia dżanozy, sygnalizowania niebezpieczeństwa i konieczności reformy.

Rozłam pomiędzy rodzicami a dziećmi — to sprawa stara, jak świat; to dziedziczna choroba, dostojna indygenatem wielu pokoleń. Tylko dawniej polegała ona na tyranji rodziców. Studencie dziecka odwróciło role. Nowocześni rodzice jęczą pod jarzmem młodocianych „pożeraczy“. Po wojnie supremacja dzieci nad rodzicami przybrała formę ostrego kryzysu, szczególnie w społeczeństwach kapitalistycznych.

W Ameryce dobitny wyraz temu kryzysowi w zakresie etyki płciowej dał sędzia nieletnich Lindsay, w książce p. t. „Bunt młodzieży“; zimnokrwisty anglik Maugham ujął cały problem pod kątem czysto materialistycznym.

Pokazuje nam, do czego dochodzi rodzina, w której ojciec traktowany jest jedynie, jako dostarczyciel pieniędzy. Nowoczesny niewolnik, biały murzyn, wół roboczy, pracujący bez wytchnienia poto, aby żona jego i dzieci uważały go za starego nudziarza i dziwaka, za człowieka niepotrzebnego. „Miałem czas przyzwyczaić się do samotności przez dwadzieścia lat mego małżeństwa“. Oto najsilniejsze oskarżenie, jakie odchodzący ojciec rzuca pozostałej rodzinie.

I na niego wreszcie, po dwudziestu latach katorgi, przychodzi chwila jasnowidzenia i opamiętania. Katastrofa materialna otwiera mu oczy. Dobrowolnie grzebie swoją karierę, aby „mieć prawo odejść“, aby nareszcie zacząć żyć dla siebie. Jest „bunt młodzieży“, dlaczegoż nie miałby być bunt ojca?

Ten odruch instynktu samozachowawczego spotyka się w jego najbliższym otoczeniu ze zrozumiałym oburzeniem.

„Dotychczas zdarzało się, że kobiety chciały żyć swoim życiem, — mówi żona, — ale żeby mężczyzna!... nie, to niesłychane!“.

Rzeczywiście, u nas w komedji Perzyńskiego kobieta „dziękowała za służbę“. Maugham pierwszy podnosi sztandar emancypacji mężczyzny, wyzwolenia człowieka, wyjętego z pod prawa do życia. Czyni to w sposób rewolucyjny, obalając istniejącą tradycję i przesady, ale czyż nie nóż rewolucji otwierał najbardziej uporezywe wrzody ludzkości?

Tym wrzodem jest jednostronne obarczanie ojca rodziny obowiązkiem zaspokajania najbardziej żarłocznych apetytów życiowych swojego gniazda. Rodzina powinna być szkołą charakterów, ale nie hodowlą paszytów i cynicznych egoistów. W wypadku Charlie Battle, bohatera „Mam prawo odejść“, całkowita wina takiego stanu rzeczy spada na niego samego. Każdy jest budowniczym swego szczęścia i kowalem swej niedoli. Gdyby Charlie mniej zapamiętał się w pogoni za groszem, a więcej dbał o moralny kierunek i uspołecznienie swej rodziny, gdyby ją kochał nie jak troglodyta, znoszący łup do jaskini, ale jak humanista, pomnażający i kształtujący jej dorobek duchowy, gdyby był mniej maklerem giełdowym, a więcej człowiekiem, — nie stałby się przypadkową naroślą na drzewie swej rodziny, ale byłby jej istotnym pniem, odpowiadającym za jej byt nie tylko, materialnie, ale i moralnie.

Sztuka ma dobre chwytły i śmiałe założenie, ale jej paradoksem brak finezji, do jakiej nas przyzwyczaiły sztuki Shaw, a dialogi rażą chwilami jednostajnością i rozwlekłością.

Wybrano ją na jubileusz trzydziestopięcioletniej pracy scenicznej Wojciecha Brydzińskiego. Świetny artysta, każdą ze swych ról pogłębiający wewnętrznym przeżyciem własnym, umiał postać Charlie ować atmosferą stłumionego, jakby wstydlivego tragizmu. Czujemy, że duszę tego opanowanego człowieka spustoszył straszny kataklizm: spokój, z jakim rozstaje się z rodziną, ma w sobie jakąś fatalną pogodę skazańca.

Doskonałą gęsią, udającą łabędzia, była Jarszewska. Majdrowiczówna, jako naiwnie cyniczny podlotek, miała trafne momenty, a w scenie pożegnania z ojcem chyba pierwszy raz w życiu była wzruszająca. Reszta otoczenia dostrajała się do ogólnego tonu, który konsekwentnie wydobyl i utrzymał Ordyński, jako reżyser.

S. P. O.

Z SALI ODCZYTÓW

Irena Solska: „Bunt czy koleżeństwo?“.

(Sala Tow. Higjenicznego).

Znakomita artystka i świetna prelegentka za punkt wyjścia swoich rozważań nad wyzwalaniem się młodzieży powojennej z pod supremacji starszych wzięła głośną książkę Lindsay, sędziego dla nieletnich w Stanach Zjednoczonych, p. t. „Bunt młodzieży“. Z umiętnie dobranych przykładów i doświadczeń tego przyjaciela i orędownika młodzieży wyprowadziła wnioski, że nie postrach, nie narzucanie swego autorytetu, ale traktowanie dzieci, jako poniekąd równych sobie, tylko młodszych ludzi, budzenie w nich poczucia godności osobistej i odpowiedzialności za swoje czyny, może uzdrowić pozornie zepsuta, a w gruncie rzeczy tylko głodną własnych przeżyć, młodzież.

W drugiej części odczytu prelegentka przeniosła swe rozważania na teren swojski, powołując się na doświadczenia sędziego Wandy Grabińskiej w sądzie dla nieletnich i na osobiste spostrzeżenia w pracowni pedologicznej, prowadzonej przez lekarkę dr. Rosenblum.

Przytaczamy tu parę interesujących przykładów postępowania dzwierzynek w zakładzie dla dzieci, wyjątkowo trudnych do prowadzenia. Pośród tych dzieci są trzy dzwierzynki, które klócają się stale ze sobą. Lekarka daje im jedną lalkę i wózek.

— To jest wasza córeczka — powiada — musicie się nią opiekować wspólnie. Jedna będzie ją karmić i dla niej prać, druga będzie szyć, trzecia będzie ją uczyć.

Skutek był nadspodziewany. Dziewczynki nie tylko zgodnie podzieliły pomiędzy siebie role, ale przestały się klócić, „żeby nie dawać złego przykładu dziecku“. Po pewnym czasie zgłosiło się do nich dwóch chłopców, którzy oznajmili, że chcą być ojcami lalki.

— Nie! — odpowiedziały dziewczynki — matek dziecko może mieć kilka, ale ojciec musi być jeden.

Drugi przykład. Do zakładu dostaje się dziewczynka lat ośmiu, sierota bez ojca i matki, niepoohamowana złoźnica. Zaraz pierwszego dnia tłucze 17 szyb zakładowych i niemożliwą ilość talerzy i naczyń. Uspokaja się dopiero wtedy, gdy się dowiaduje, że to jest własność społeczeństwa i że zakład z powodu braku środków może być zamknięty.

— Gdzież ja się wtedy podzieję? — zapytuje dziecko. — Przecież ja nie mam ojca ani matki.

— Wezmę cię do siebie — odpowiada lekarka — będziesz moją córeczką.

Dziecku to nie wystarcza. Prosi, żeby dać jej zapewnienie na piśmie. Otrzymawszy je, zawiązuje papier w gałganek i zawiązuje sobie na szyi. Kiedy dozorczyńni chce jej go zdjąć do kąpieli, dziecko krzyczy i gryzie. To jest jej tajemnica, tajemnica między nią, a ukochaną opiekunką.

Szeregiem tego rodzaju przykładów, wypowiedzianych z epickim spokojem i swobodą wielkiej artystki, Solska poparła swoją tezę: zamiast buntu — koleżeństwo.

S. P. O.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

PIERWSZA PROFESORKA.

NAUCZYCIELKI ŚLĄSKIE WOŁAJĄ O SPRAWIEDLIWOŚĆ.

Zapewne już cała Polska kobieca, a może i męska wie, że w województwie śląskiem istnieje ustawa „celibatowa dla nauczycielek“, zabraniająca uczyć, po wyjściu zamaż, nauczycielce szkoły powszechnej lub średniej. Ustawa ta jest uchwałą pierwszego sejmiku śląskiego, broniącego „moralności“, gdyż według opinii b. panów posłów „niemoralnie jest, gdy uczy w szkole kobieta mężatka i matka“.

Obecnie sprawa ta wkroczyła na nowe tory: w lutym r. b. na dorocznym zjeździe okręgowym towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych (T. N. S. W.) uchwalono wniosek za zniesieniem „ustawy celibatowej“ i wybrano komisję do przeprowadzenia tej sprawy.

Komisja rozpoczęła swą pracę ułożeniem memorjału, który zamierza w najbliższych dniach wręczyć władzom komisji szkolnej w sejmie śląskim, posłankom i posłom. Komisja liczy bardzo na życzliwe poparcie swej sprawy przez p. wojewodę dr. Michała Grażyńskiego i przez posłanki, jako rzeczniczki spraw kobiecych. Bardzo wiele znaczyć też będzie życzliwe stanowisko prasy. Tego nauczycielkom nie można odmówić, tembardziej, że praktyka życiowa w całej Rzeczypospolitej wykazała, jak owocnie pracują nauczycielki-mężatki; dlaczego więc konserwować na Śląsku tego rodzaju odrębność, nie mającą przecież nic wspólnego z warunkami regionalnymi!?

JESZCZE WYŻEJ.

Znana już z wielu wyczynów lotniczka amerykańska, Ruth Nichols, osiągnęła nowy rekord wysokości: 50 tysięcy stóp, w półtorej godziny trwającym locie nad wyspą Manhattan. Ostatni rekord pani Eleonar Smith wynosił 27 tysięcy stóp.



Miss Ruth Nichols.

Rzecz dziwna, że w kraju tak postępowym, jak Finlandja, gdzie kobiety oddawna uzyskały prawo wyborcze, nie było dotychczas żadnej uczoney na katedrze uniwersyteckiej. Pierwszą kobietą profesorem została dopiero w tym roku dr. Laima Leidenius, która objęła w Helsingforsie wykłady ginekologii.

PAMIĘCI DULĘBIANKI.

Wszystkim wiadomo, że Lwów usprawiedliwia swe godło: „Semper fidelis“: mieszkańcy jego odznaczają się wierną i wdzięczną pamięcią dla pionierów pracy i myśli polskiej, dla zasłużonych bohaterów. Szczególną zaś serdecznością otaczają pamięć tych, którzy na terenie lwowskim żyli i działali. Jedną z takich postaci, której działalność, na szeroką skalę zakreślona, promieniowała ze Lwowa, z którym łączyły zmarłą serdeczne węzły, była Marja Dulębianka. To też Lwów czci jej pamięć żywo i nieustannie.

Nie można powiedzieć, aby Dulębianka zapomniana była w Polsce, nie! żyje pamięć jej działalności, najgorętszego patriotyzmu, jasnej, demokratycznej w postulatach, pełnej energii w czynie, pracy społecznej; skutecznej, śmiałej walki o równe prawa kobiety-obywatelki; pamiętamy o tem. Wyraz jednak tej pamięci w czynie dał Lwów, urządzając, w dwunastą rocznicę śmierci wielkiej działaczki uroczystą akademię ku jej czci.

Organizatorem był oddział lwowski Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Na program akademii złożyły się przemówienia i piękna część koncertowa. Dochód i liczne datki nadprogramowe przeznaczono na budowę domu imienia Marji Dulębianki.

UMIEJĄ PRACOWAĆ, UMIEJĄ SIĘ I BAWIĆ.

Pionierki korporacyj kobiecych, dzielne Priorzystki, mają w planie swej działalności, obok wielu czynników poważnych, jeden, lżejszego, ale bardzo dodatniego gatunku: humor.

Praca poważna idzie i rozwija się. Zasadą kierownictwa korporacji jest obowiązek realnej pracy każdej członkini. Rezultatem tej działalności jest utworzenie żeńskiej, akademickiej Ligi Morskiej i Rzecznej; stała, wydatna opieka nad ubogimi dziećmi polskimi Gdańska; rozważanie żywotnych spraw ogólnospołecznych i kobiecych na zebraniach klubowych, dyskusyjnych; wydawany co miesiąc biuletyn pracy, stały kontakt z polskimi słuchaczkami wyższych uczelni zagranicą: program pokaźny.

Ale przeplata tę pracę żywą nicią beztraska wesołość młodości, świadomej swych atutów: prostego, dzielnego ujmowania życia i swoich w niem zadań. Ta nuta humoru wyzwała się żywiołowo na „kwaterach“, zebraniach korporacyjnych, gdzie po programie poważnym, jak np. wyświecanie barwiarek, następuje zabawa koleżeńska.

Priorzystki utrzymały zasadniczą hierarchję korporacyjną, stanowiącą podstawę ćwiczenia karnośći stowarzyszeniowej, z małemi tylko zmianami niektórych nazw. I tak tradycyjnego „fuksa“ zastąpiła „alienka“. W korporacjach męskich los „fuksa“ bywa nieraz istotnie ciężki i niejednokrotnie odzywały się już z kół akademickich głosy, protestujące przeciw wybrykom „autorytetu“ barwiarzy w stosunku do młodszych kolegów. W korporacji żeńskiej niema tego, i zarówno „szacunek“ dla barwiarek, jak i odnoszenie się tychże do „fuksów“ — „alienek“, oparte jest na stopie koleżeńskiej.

Ale przecież trzeba się pośmiać na kwaterze, więc dowcipna, świeżo „wyzwolona“ barwiarka uwieczniła ciężki los „fuksa“ wierszem, z którego cytujemy wyjątki:

Smutny, ach smutny fuksa los na kwaterze,
natrudzi się nieboże, aż litość bierze:

„Fuks, prędko, podaj cukier“,

Fuks, kto zjadł z paczków lukier?“

„Fuks, nalejno herbaty“...

A potem:

„Gdy przy stole barwiarka w zlocie, jak w słońcu,

Fuks siedzi w szarym dekle, na szarym końcu...

Taki to los twój, fuksie, godny litości:

Wzdychasz tylko i wzdychasz, aż trzeszczą kości,
i, obciążon strapieniem,

tem się cieszysz marzeniem,

że nim rok minie szparko,

będziesz barwiarką!“

Wiersz przyjęły z jednakim entuzjazmem zarówno „biedne“ fuksy, jak i „dostojne“ barwiarki. Bo zdrowo jest pośmiać się i zabawić.

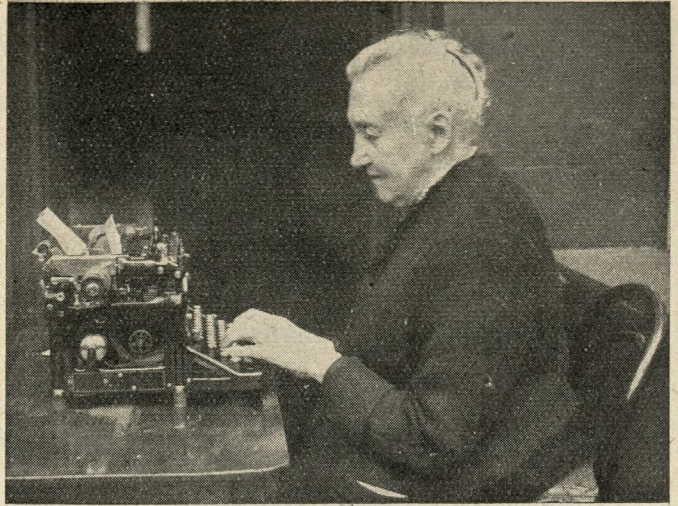
NOWY SPORT.

Naturalnie w Kalifornji, gdzieindziej istnieją takie warunki coraz nowych pomysłów: cudowny klimat, z wiecznym słońcem i olbrzymią przestrzenią oceanu! Dodajmy do tego pokaźną liczbę milionerów, a nie zdziwimy się, że ludzie, mający dużo czasu, pieniędzy i ochoty do życia, wymyślają sobie coraz nowe sposoby najmiłszego spędzenia czasu w tem życiu.

Po sporcie łuczniczym na łodziach, kiedy w pędzie motorówki strzela się do celu, ostrym krzykiem mody stało się strzelanie z łuku do piłki, wysoko wyrzuconej. Osoba, stojąca w środku, rzuca piłkę, dwie z boku wypuszczają strzały.



Która trafi?



Pani Wakefield.

DZIELNA STARUSZKA.

W przytulku dla niewidomych w Belfast, w Anglii, mieszka oddawna Miss Marja Wakefield, ośmdziesięcioletnia staruszka, która mimo tak późnego wieku pracuje, jako maszynistka! Stowarzyszenie opieki nad ubogimi ofiarowało jej specjalnie skonstruowaną maszynę do pisania dla niewidomych i Miss Wakefield załatwia pod dyktando całą korespondencję schroniska, odpłacając za swoje utrzymanie, do którego otrzymuje jeszcze małą pensyjkę na drobne, osobiste wydatki.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W myśl uchwały Sejmowej, upoważniającej rząd do 15 procentowej redukcji plac urzędniczych, rozpoczęto już niżkę zredukowaniem pensji urzędników państwowych instytucji bankowych: Banku Polskiego, Banku Gospodarstwa Krajowego, Państwowego Banku Rolnego, Pocztovej Kasy Oszczędności i Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych. Niżka wynosić ma 10 procent, zdecydowana zaś została dlatego w tych instytucjach, że są one poniekąd przedsiębiorstwami handlowymi, w których pensje personelu są naogół wyższe od pensji w innych, czysto biurowych urzędach.

Pracownicy wyżej wymienionych banków zwrócili się jednak do czynników miarodajnych z inną propozycją, mianowicie: aby rząd zgodził się traktować tę niżkę, jako dobrowolną, czasową daninę urzędników na rzecz skarbu państwa, dla zaradzenia obecnym trudnościom finansowym. Od tej daniny urzędnicy w poczuciu obowiązków obywatelskich się nie uchylają, natomiast protestują przeciwko zasadzie, jakoby place ich były zawielkie. Wysokość uposażeń w tych instytucjach wynosi przeciętnie 492 zł. miesięcznie, na prowincji o 20 proc. mniej. Utrzymanie się na poziomie kulturalnym, odpowiednim dla inteligentnego pracownika, jest już przy tej sumie niezmiernie trudne (dowodem obecna dyskusja w „Mównicy“ „Bluszczu!“), przy niżce zaś byłoby niemożliwe.

W polityce ogólnie europejskiej zaczyna się pewien okres mniej żywotny. Na wszystkich frontach cisza, wewnątrz w Niemczech jedynie hitlerowcy awanturują się z racji dziesięciolecia plebiscytu śląskiego, rozwodząc żale nad straconą „odwiecznie niemiecką“ (urdeutsch) prowincją. Jednocześnie nie zaniebują i gwałtownych tarć partyjnych; w Berlinie doszło do formalnej bitwy na ulicach. Walczyli komuniści z hitlerowcami, mszcząc się za zabójstwo komunisty Henninga. Wogóle, jak obliczono, w państwie bojaźni bożej było w ciągu roku 60 zabójstw partyjnych.

Ładne stosunki!

NASZA MÓWNIKA

Katastrofa szkolna

Nigdy dotychczas nie lubiłam statystyki. Cyfry były dla mnie czystą abstrakcją, a wymowa ich nie potrafiła mnie przekonać. Było tak zapewne z tego powodu, iż z realnymi wartościami cyfr statystycznych nie, miałam styczności.

Dziś patrzę ciągle na żywą ilustrację liczb, podanych w „Głosie nauczycielskim“, organie Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. Jak wyraziście przemawiają do mnie!

Polska cieszy się wyjątkowym przyrostem ludności, dzięki czemu corocznie 550.000 dzieci przybywa do szkoły, odchodzą zaś znikoma ilość 14 letnich, bo w czasie wojny przyrost był znacznie mniejszy.

Ponieważ w chwili odzyskania wolności, Polska miała bardzo mało szkół powszechnych, od początku istnienia naszego państwa rząd włożył się nad ułożeniem budżetu Min. W. R. i O. P. tak, aby: stawiać budynki dla szkół istniejących; podwyższać stopień organizacyjny szkół (np. takich, gdzie jedna nauczycielka uczy 100 dzieci, podzielonych na 4 oddziały); zakładać nowe szkoły, bo mamy w Polsce wsie, których mieszkańcy nie widzieli nigdy w życiu książki, ani obrazka.

Tych trzech działów, pochłaniających moc pieniędzy rok rocznie, jest jednak ciągle za mało.

W roku bieżącym mamy około 800.000 dzieci w wieku 7 — 14 lat, dla których w szkole niema miejsca, w r. 1952/53 liczba ta wzrosła do 1.500.000.

Wobec tego stanu rzeczy, należałoby siły nauczycielskie zwiększać o 4.000 osób rocznie w ciągu 10-ciu lat, a także wybudować 40.000 izb lekcyjnych.

Trudna sytuacja gospodarza (nie tylko Polski) uniemożliwia rządowi całkowite usunięcie braków. Społeczeństwo zaś czuje się w prawie bez porównania więcej wymagać od własnego państwa, niż wymagało ongiś od rządów zaborczych.

Wówczas każdy prawie dwór miał tajną szkołę polską, której utrzymanie, prócz stałych kosztów materialnych, spowodowało nieraz ciężkie konsekwencje.

A dziś nikt nie ogranicza prywatnej działalności oświatowej, lecz inicjatywa zamarła.

Nauczycielstwo polskie pracuje ponad siły. Gruzlica zbiera wśród niego ofiary, nie dlatego, że praca jest bardzo ciężka, lecz, że warunki tej pracy są rozpaczliwe. Sale małe, przeładowane dziećmi, często niedające się przewietrzać przez całą zimę, bo okna podwójne nie mają zawias, albo są niedopasowane i zamarzają; mieszkania prywatne tak przewiewne, że przez noc temperatura spada poniżej 0°. Nauczycielstwo się nie skarży (ja stanowię wyjątek), bo wie, że temi nędznymi, codziennymi ofiarami buduje ojczyznę.

Czy zamożniejsze społeczeństwo może patrzeć obojętnie na krzywdę współobywateli, największą, jaka się stać może: brak oświaty, a rozwój ciemnoty, która jest początkiem wszelkich zbrodni?

Jest tyle placówek społecznych, zakrojonych na wielką skalę, a powstałych z inicjatywy prywatnej; czy nie znajdzie się nikt, kto by zorganizował walkę z analfabetyzmem?

Państwo nasze jest młode, całe życie krajowe organizuje się mozolnie, w ciężkich warunkach kryzysu gospodarczego Polski i całego świata; nie jest naprawdę obywatelskim czynem powiedzenie sobie: to wszystko rząd sam zrobić powinien. Obowiązkiem czynników społecznych jest zająć się sprawą szkolnictwa i pomagać w niej; będzie to wymagało mniej pracy i kosztów, niż kładziono dawniej, a rezultaty wspólnej akcji państwa i społeczeństwa dadzą rozwiązanie problemu, od którego zależy przecież przyszłość tego społeczeństwa.

Teofila Fidosowa — Brzuchowice.

Wychowanie dzieci (w odpowiedzi p. B. W.)

Niech i mnie wolno będzie wypowiedzieć się w „Naszej Mównicy“, która obejmuje tak poważne tematy, jak wychowanie dzieci.

Jestem wychowawczynią dwóch chłopców: dziewięcioletniego i sześciolatniego. Starszy chodzi do szkoły, młodszy jest w domu. Dzieci chowane są bez matki od lat trzech. Ojciec absolutnie się nimi nie zajmuje, a nawet na prośby z mej strony, gdy chodzi o jakiegokolwiek przemówienie do dziecka, skarcenie go słowami, czy wreszcie ukaranie, odpowiada stale: „pani je wychowuje, dwoje nas nie może“. Tak więc cała odpowiedzialność teraz i w przyszłości spadła na mnie.

W zawodzie swoim pracuję z zamiłowaniem, mam dużą dążność do cierpliwości, wyrozumiałości. Skoro dzieci zostały oddane wyłącznie pod moją opiekę, chciałyby widzieć je takimi, by sobie, a przede wszystkim im nie mieć nic do zarzucenia.

Dlatego też pragnę poruszyć bardzo ważny temat: kłamstwa u dzieci. Może ktoś ze starszych wychowawczyń i wychowawców prześle cenne swe myśli, które będą mogła odpowiednio zastosować.

Starszy mój pupilek *bardzo kłamie*. W kłamstwie swoim doszedł do jakiejś chorobliwości, nigdy nie powie słowa prawdy! I zatruwa tem młodsze braciszka, który bierze z niego przykład na każdym kroku.

Pytam więc, co zrobić, bo jestem bezradna. Nikt źle na dzieci nie wpływa, uważam na ich otoczenie, są owiane ciepłem rodzinnem ze strony ojca, który je szalenie kocha. Ja, jeżeli nie dam im takiego ciepła (młodsze bardzo lubię), to dlatego, że jestem obcą osobą, ale nie robię im żadnej krzywdy, mają wszystko w miarę możliwości, dbam o ich przyjemności, nigdy im nie odmawiam niczego, co dać można i zawsze mówię im prawdę, dotrzymuję słowa, nawet w drobnostkach. Przecież dzieci biorą przykład ze starszych. Pracowałam i pracuję nad nimi, staram się zawsze i na każdym kroku wykorzeniać złe nawyki, tłumaczę, proszę, nie nie pomaga. A kiedy muszę, za jakieś poważniejsze przewinienie, ukarać (klęczenie, różgi)¹⁾, to wytwarza w nich taką zawziętość, że nigdy np. sami nie przeproszą. Może dlatego, że mają za sobą ojca, który nie tylko nie rozumie dobrego wychowania, ale podrywa przy dzieciach autorytet wychowawczyni. A potem, kiedyś, jeśli wyrosną na złych ludzi, nikt nie będzie winić ojca, ale wszyscy powiedzą: (jak nie raz słyszałam aluzje do mnie) „no tak, biedne dzieci, gdyby je matka wychowała, byłyby inne“. Nikt zaś nie wie, że matka też je chowała i były wówczas jeszcze gorsze, krnąbrne, nieposłuszne na każdym kroku i nawykłe do kłamstwa. Ja nie oskarżam, ale pragnę ich dobra; nie chcę być fałszywie zrozumianą, ale chciałyby znaleźć radykalny środek, lekarstwo.

Rozgorączona „S. F.“

Pytanie

Możeby która z Szan. Pań zechciała mi wytłumaczyć, dlaczego w każdym większym mieście istnieje ochrona pracy kobiet, a na wsiach ta szlachetna instytucja nie rozciągnęła swej działalności?

Mam tu przede wszystkim na myśli robotnice sezonowe rolne, ponieważ zbliża się okres kontraktowania na roboty wiosenne i letnie. Czy znów każe się tym nieszczęśliwym istotom mieszkać razem z mężczyznami, w warunkach daleko gorszych, niż mają zwierzęta domowe. Nikt nie przestrzega ustawy o dźwiganie ciężarów przez małoletnich, każe się im przenosić 100 kg. worki! Warto by nad tą sprawą się zastanowić.

Leonarda W. z Podola.

¹⁾ jakże wysoce niepedagogiczne! (Przyp. Redakcji)

IMIENINY

Niejedna z nas chętnie wyrzekłaby się tego, dość zresztą luźnego, związku ze swoją patronką. Niestety, jeśli kogo los pozornie nawet uprzywilejował pogańskim, modnym dziś zresztą, imieniem, zawsze się znajdzie jakieś chrześcijańskie zastępstwo, czyniące z każdego z nas przedmiot bliższych, lub dalszych zainteresowań otoczenia.

Nawiasem mówiąc — przykład kosmicznej ironji: niebosiężne duchy, zaprzeczające się po brzegi w wielkiej idei, ciała na proch spalane męczeństwem, wyschłe w ascezie, opłynięte żywą krwią tak, jak inne, przecie urażliwej cielesnej powłoki — i ziemskie signum tych spraw: wino krajowe, czekoladki, gramofon...

Utrzymując się w ziemskiej orbicie tego zagadnienia, trzeba przyznać, że przykro-przyjemny dzień imienin obfituje w przedziwne nastroje: cielece rozrzewnienie, rozradowanie do całego świata, poczucie niezasłużonego wyróżnienia, zakłopotanie — a z drugiej strony wysiłek finansowy, robiący nieraz trzymiesięczną wyrwę w budżecie, trema z powodu przyjęcia, kłopot z lokalem (te przysłowiowe polskie ściany niezawsze jednak chcą się rozsuwać), zderowanie, emocja...

Cały, towarzyszący zwykle imieninom, harmider nasuwa spokojniejszym i tchórzliwszym jednostkom myśl o ucieczce, z tem, żeby drzwi otwierały się gościnnie jedynie na przysyłane prezenty. Ucieczka może być dwojaka: konspiracja i wyjazd.

To pierwsze jest jednak niewygodne i ryzykowne: trudno spędzić cały dzień pod tapczanem, albo w szafie, bez wyjścia na ulicę, a otwarte oznajmienie, że się nie przyjmuje, będąc w domu, w dniu tak uroczystym jakoś nie znajduje życiowego zastoso-



Dziociom również należy się częśćka emocyj imieninowych.

owania. Wyjazd zaś kilkudniowy pociąga za sobą koszty, większe od przyjęcia. Zresztą, skoro bywa się na imieninach u znajomych, nie wypada pozbawić ich swoich. W rezultacie, łatwiej jest biblijnemu wielbłądowi przejść... i t. d., i t. d., niż odzegnać się od dziwacznie skarykaturowanego wpływu patrona...

Skoro więc postanawiamy bohatercko podjąć kłopoty i trudności imienin, zastanówmy się nad nimi bliżej.

Najgorszym szkopułem całej sprawy jest niepewność ilościowa. Gości na imieniny się nie prosi, każdy jest mile widziany, ale musi być równie mile posadzony, obsłużony i uczęstowany. „To tak miło, miło w ścisku“ ma rację bytu raczej na imieninach akademickich, gdzie prowizoryczny tapczan na skrzynkach makaronowych z zasady pomieści tyle osób, ile na nim usiądzie, a czy komu się dostanie pół tartinki, czy cały tuzin — o to mniejsza. Tak, czy inaczej, po wyczerpaniu szlagierów gramofonowych będzie się w braku czegoś innego śpiewało chórem „Leci pies przez pole — ogonem wywija“...

W życiu prywatnym — tak nie idzie. Kłopotliwy jest zarówno nadmiar życzących wszystkiego najlepszego, jak sieroce grono paru osób, mających do dyspozycji poczęstunek, obliczony na tuziny wizytantów. Jakże się wtedy żałuje nieośmielenia tego i owego dyskretną zachętą, lub subtelnym przypomnieniem, że się właśnie tak, a nie inaczej nazywamy! Jak dżdżysta pogoda na wsi, podczas której chętnieby się widziało u siebie nawet poborcę podatkowego — tak i nastroj zięjących pustką, a na szerszą skalę narychtowanych imienin, każe nam spoglądać z wyczekiwaniem na drzwi. Nieza-



Herbata i drobne ciasteczka, ale podane!

spokojne oczekiwanie to zostawia osad gorzkiej przykrości na dłuższy przeciąg czasu. W obawie obu ewentualności, można bezwzględnie doradzić jeśli już nie oficjalne prośzenie gości, to dyskretny wywiad dyplomatyczny w formie bądź przypomnienia bliższym i dalszym o dniu, w którym... bądź wybadania choćby za czyjś pośrednictwem, kto się do nas wybiera. Za ustaleniem choćby przybliżonej listy przypuszczalnych gości przemawia jeszcze i ten wzgląd, że niezawsze imieniny wypadają w święto, że się je czasem na święto przenosi, a w dniu powszednim konieczne jest nieraz ustalenie godzin, zależnie od *typu* przyjęcia (obiad, popołudnie, wieczór) i wolnego czasu solenizanta.

Po zrewidowaniu i unormowaniu spraw, kto i kiedy, b. praktyczne jest zajęcie za kulisy zagadnienia: z czym? Wstydlivy ten problemat jest przecie niezmiernie doniosły zarówno dla dających (z serca, czy z konwenansu), jak dla rozrzuconego dobrami chęciami, lub samym prezentem, obdarowanego.

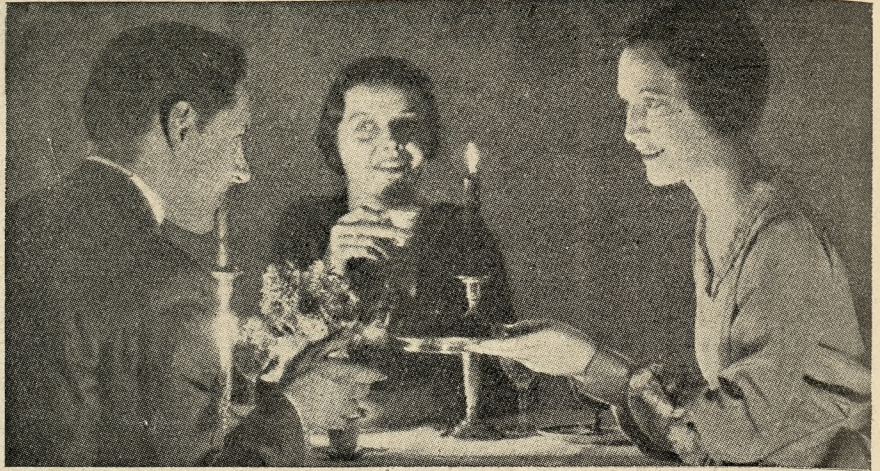
I znowu wylania się pytanie: niespodzianka, czy umowa? Najlepiej może będzie przeciąć to pół na pół. Od dalszych przyjmijmy ryzyko i urok niespodzianki — z najbliższymi stańmy na konkretnym gruncie umowy. Od dalszych zresztą dostaniemy ze stuprocentowym prawdopodobieństwem: kwiaty i cukierki. To też dwie rzeczy w związku z tem powinny być wzięte pod uwagę. Dyskretnie, w innym pokoju ustawione wazony, a nawet słoje z nalaną wodą — i nie zakupywanie na przyjęcie imieninowe zbyt wielkiej ilości czekoladek. Pozwoli to nam na przyjmowanie znoszonych i przysyłanych wiązanek z miłym uśmiechem, za którym nie czai się dotkliwy kłopot „w co ja to wsadzę?“, i nieżałowanie przynajmniej kilkunastu złotych, niepotrzebnie wydanych na słodycze, których i tak tyle naznazono.

Czy słuszną jest ta cukierkowo-kwiatowa linia najmniejszego oporu? Niebardzo — bo stwarza kłopotliwe, a przynajmniej beużyteczne nadmiary. Przy licznej frekwencji suma wkładów w te prezenty osiąga niejednokrotnie wysokość miesięcznego budżetu solenizantki (solenizanta). Jest to jednakże wielkie ułatwienie światowe i zrzućcie kłopotu z głów znacznej ilości gości.

Trudno będzie zwalczyć ten zwyczaj, bo trywjalny, choć niewątpliwie korzystny dla obdarowywanego, pomysł składek pieniężnych — byłby jednak nie do przelknięcia dla światowego protokołu. W gronie najbliższych natomiast: np. koleżanek i kolegów biurowych, przyjaciółek i t. p. — rzecz ta byłaby zupełnie dopuszczalna. W pewnym biurze grono najbliższych sobie 5-ciu współpracowniczek wprowadziło to w życie i, zaiste, suma 25 zł. ślicznie pokrywa koszt przyjęcia, a wzajemność i kolejność tej ceremonji usunęła z niej wszystkie drażliwe elementy.

Bo — trzeba to przyznać bezstronnie — w najbliższym właśnie kółku, gdzie nie stosuje się ścisłego porozumienia między dającym a biorącym, zdarzają się incydenty imieninowe, którym na imię: niefortunnosć.

Wkraczamy tu w dziedzinę darów, które sieje się dokoła szczerą i bezceremonjalną, chociaż życzliwą, ręką: przedmiotów, mających służyć celom zdobniczym. Jest to dar, oscylujący między ceremonjalnym kwiatkiem, a przyjacielską — parą pończoch.



Po rozejściu się gości zespół maleńki, ale zgrany...

Tak miło przecież ofiarować makatkę, poduszkę, wazonik, dywanik, abażur, ramkę do fotografii, ozdobną popielniczkę, maskotkę, papier listowy, perfumy... To się zawsze każdemu przyda... Otóż: niezawsze. I: nie każdemu.

Ktoś używa *stale* tych samych perfum, powiedzmy — ambry — tej, a nie innej firmy. I dostaje: fiołek. Co ma zrobić z fiołkiem? Wyrzec się dla niego własnego wonnego nałogu?

Ktoś upatrzył sobie, wyczarował, wymarzył makatkę z „Ładu“. Grono wszystkich mebli przyjmie ją mile i oczekuje z wyhaftowanym czerwonym makiem. Przez litość! co zrobić z tym fragmentem łąki? Wieszając za każdym razem, kiedy zjawi się niefortunny ofiarodawca? Ileż to takich dywaników leży pod łóżkiem, zamiast rozpościerać się przed niem! Ile wazoników stawia się umyślnie na brzegu stołu, żeby tak, trochę przypadkiem, trochę przez nieuwagę, losy jego spowodowały żal głęboki, skruczę najszczęśliwą: „moja droga, pomyśl, co za szalona przykrość!... Był to mój ukochany wazonik!...“

Jeśli już gorliwość przyjacielska tworzy z naszym upodobaniem kakofonję nie do zniesienia — gotowi jesteśmy nawet pójść na udry i otrzymaną w prezencie gipsową figurę ofiarować Marysi, aby reprezentowała urodę życia w jej kuchennym zakamarku. Ale i Marysia ma już czasem gust o tyle wyrobiony, że wdzięcznie przegiętą białą damę przyprawi o utratę niesławnego i niepożądanego żywota.

I z tym papierem listowym (drugim po kwiatkach w hierarchji intymności — łatwym prezentem) niezawsze gładko pójdzie. Może się zdarzyć, że ktoś — no, trudno! — chorobliwie nie znosi lila podszewki. Albo pisze tylko na bloczkach. Albo tylko kartki korespondencyjne. A może wystarczy mu telefon, blankiet służbowy i telegraficzny? Pocóż to ma leżeć beużytecznie?

Nie starajmy się par force ozdabiać czyjegós życia swoim gustem. Zanim obdarzymy kogoś pięknym, rodzimym psem pacykowskim, wnuknijmy na wszelki wypadek w jego wybitne, choć może karygodnie niepatryotyczne upodobanie do kryształ, szkła weneckiego, czy nawet... Lalique'a.

W wypadkach, kiedy bliższa znajomość upoważnia nas do dania bardziej bezceremonjalnego upominku, jeśli z należyta bezstronnością widzimy różnicę między własnym a czyjś (choćby — dziwacznym) gustem, raczej przekroczmy linję demarkacyjną zdobniczych podarków w kierunku *jeszcze bar-*

dziej praktycznych. Nie bójmy się wejść na teren umowy. Może przyda się ten, a nie inny materiał na bluzkę? Para pończoch? Butelka vermouthu? Łyżeczka? Mydło? Ręcznik kąpielowy? Rękawiczki (w kolorze dobranym do torebki)? Bilety wizytowe? *Abonament pisma?*

Zaiste — jakże nie doceniamy tego ostatniego! I książek! Książka — to prawie zakres cukierków i kwiatów. Dać ją może każdy każdemu, każda każdej, każdy każdej... Tylko również — och, jeszcze więcej — niech będzie starannie, pasująco, dobrana! A pismo — to coś, co radować będzie bezustannie, odpowie potrzebom, przyniesie tyle korzyści.

Ktoś interesuje się: lotnictwem, morzem, literaturą, sztukami plastycznymi, muzyką, pedagogiką, gospodarstwem domowym... Komuś życie przyniosło obowiązki pielęgnowania dziecka, chorych, ktoś jest zawodowcem — a nie stać go na zapewnienie sobie stałego doradcy.

Wygląda to z pozoru mało efektownie (możemy dodać tani kwiatek na okrasę); ale jakże się wzmaga przyjaźń przy pomocy takiego sprzymierzeńca! Reasumując — dojdziemy do wniosku, że sprawie imienin należy się od nas znacznie większy nakład nie kosztów (te są często niezdrowo przesadzone), ale tak potocznie zwanego pomysłu, taktu i dyplomacji. Użyjmy, jako narzędzia w tej dobrej sprawie: towarzyskiego sprytu, poczty pantoflowej, zamięłowania do cudzych tajemnic, analizy wad i zalet; rzućmy uważne spojrzenie na cudze wnętrza, które nas zazwyczaj z innych, mniej chlubnych względów, interesuje; przeniknijmy tym razem życzliwą, czujną intuicją cudze życie, cudze sprawy, cudze życzenia...

Bardzo się nam to przyda przy imieninach — tym dniu natłoczonym, zakłopotanym, pełnym dla kogoś niemądrego popłochu, a przecież parującego jakimś niesamowitem, unoszącym się z głębi serca wzruszeniem.

Wanda Borudzka.

PANI I BRIDGE

— Pani gra w bridge'a?

Zapytanie, któremu brak intonacji pytania, raczej zdaje się być nie pytaniem, a zdecydowanym *twierdzeniem*.

Konsternacja! Bo oto pani inteligentna, światowa, dowcipna, o wszelkich cechach lotnego umysłu, odpowiada bez najmniejszego zainteresowania, nawet — o zgrozo! — z uśmiechem, że w bridge'a nie-



Pani, gdy już raz uwierzyła w swe siły, staje się najgorliwszą wyznawczynią bridge'a...



Uczy się, aby móc zasiadać razem z nim przez długie godziny przy jednym stoliku...

tylko nie gra, ale nie pokusiła się dotąd o zbadanie jego tajników. Poprostu, bridge jej nie interesuje.

Starsza pani, dziedzicznie obciążona przedwojenną uprzejmością, zwraca się z miłym uśmiechem do interpelowanej, wyliczając jedną po drugiej przekonujące racje.

I oto nieprzyjaciółka bridge'a dowiaduje się, że: przechodzi nieopatrznie około źródła szczęśliwości; burzy własnymi rękami gmach pogodnej starości, bo lata szybko mijają: sylwetka traci fascynującą w tańcu linję, mięśnie sprężystość, podatną sportom, oczy blask przyciągający — i kobieta ani się spostrzeże, kiedy w gwarnym salonie zmieni się z uczestniczki w obserwatorkę — z otoczonej w odosobnioną; dotąd zawsze upragniona i poszukiwana — jest teraz zapraszana jedynie od czasu do czasu, w imię poprawnej *towarzyskiej przyzwoitości*.

Wystarczy jednak *grać w bridge'a*, aby przejście z okresu kwitnącego lata do oszronionej jesieni odbyło się bez wstrząsów, zgrzytów, bez bolesnych zadrzań miłości własnej.

Ale panią trudno przekonać. Ma jeszcze przed sobą tyle czasu! Rozkoszne upojenie przestrzeni; srebrzystą wstęgę rzeki, opanowaną siłą prężnych, młodych ramion; rekordy pływackie i piesze; korty tenisowe; taniec; flirt; swoją umiłowaną pracę zawodową; swój dom; książki; radio; zamięłowania artystyczne; cały szeroki świat podniecających zainteresowań — życie — ziemię zdobywców — z którego skreśla jednym zamachem zadymione pokoje, owiane nastrojem pobożnego skupienia, gdzie feruje się wyroki *życia lub śmierci*.

Pani, nie grająca w bridge'a, w epoce dzisiejszego *szalu bridge'owego* jest zaiste okazem rzadkim, o niecodziennej indywidualności, odporności na wchłanianie bakcyli, krążących w powietrzu; jest złym odbiornikiem fluidów, które zdają się być wszechpotężne. Ma szeroki zasięg swoistych zainteresowań, silne napięcie radości życia, samowystarczalność, która się obchodzi bez haszyszu, dającego zapomnienie, bo — jak twierdzą zaprzysiężeni bridży-

ści: bridge — to nektar boski, który zasnuwa rozkoszną mgłą przykrą rzeczywistość.

Pani, nie grająca w bridge'a, jest w pierwszym okresie uwodzenia nieustępliwa, jak przysłowiowa opoka. Nie dyskutuje o rozkoszach bridżowych, nie gra i nie *kibicuje!!!*

O, błogosławiona istoto, która nie wnosisz zgrzytów z zewnętrznego świata do świątyni! nie wybuchasz śmiechem, gdy się dowiesz, że już *św. Igur* *każał kłaść „figur na figur“*; nie starasz się zrozumieć, że nieopatrzna licytacja, a co gorsze, *lekkomyślna, lub bezmyślna* (podług zdania partnera) rozgrywka — to precedens do rozpętania najgorszych namiętności partnera, zerwanie węzłów przyjaźni, czy zażyłości; nie chcesz wiedzieć o tem, że prześladowająca dewena bywa cięższą do przeżycia od złamanych przysięg miłosnych.

Pani, nie grająca w bridge'a, ma jeszcze tę wyższość ponad swojemi zapalonemi do kart siostrzycami, że przy lada omyłce, która zdarza się przecież najwytrawniejszemu graczowi, nie spojrzą na nią ironicznie oczy partnera, co aż nadto wyraźnie, aczkolwiek bez słów, starają się wypowiedzieć tajone przez grzeczność przeświadczenie: „A co, czy nie miałem racji, że bridge to nie jest gra dla kobiet?!“

Więc ta, której nie danem jest zrozumieć rozkoszy: szlemika, szlema, contry; emocji *cudem* dogranej partji; podniecających dysput, rozwiązujących problem: *jak potoczyłaby się gra, gdyby ten, czy ów wyszedł w kier, a nie w karo, docenił, zamiast bagatelizować, fortę*; zna rozkosz niezależności od niebywalej partji, która składała się z *dmudziestu* robrów (i tak czasem bywa); wraca o normalnej godzinie do domu, wstaje rano wypoczęta, rześka i do pewnego czasu ciągle jeszcze nie może pojąć, *co jest w tym bridge'u tak niebywale fascynującego*.

Aż oto jakaś blaha napozór, a jednak w rzeczywistości ważka przyczyna skłania panią do spojrzenia łaskawem okiem na to, co dotąd bagatelizowała.

Uczy się przez snobizm; instykt samozachowawczy, co każe jej solidaryzować się z ogółem; nie chce przyznać się głośno do tego, że trudno jej skupić uwagę, pamiętać, jakie karty już wyszły, kalkulować na podstawie podchwyconych obserwacji, jaki rozkład kart mają przeciwnicy, lub partnerzy; wreszcie udaje entuzjizm, czy poważne zainteresowanie, aby móc towarzyszyć *jemu*, dzielić *jego* zamilowania, zasiadać razem z *nim* przez długie godziny przy jednym i tym samym stoliku — marzy nawet czasem o tem, że jej prestige zyska w tych *jedynych oczach* z chwilą, gdy uznana zostanie za dobrą bridżystkę.

Z początku kombinuje przebiegle bridge'owe tualety, piastuje złudzenia, wierząc, że partnerów olśnić można odwieczną kobiecością, wymanicurowanemi paluszkami, błyskiem pierścionków, powłóczy stem spojrzeniem; nie wie, że cały tak bardzo działający, uwodzicielski regulamin — to, wobec jej babskiej gry, marność nad marnościami i tylko marność.

Więc pani uczy się nie obrażać za ostre uwagi, liczyć się z ambicją partnera i nie wsadzać go bez trzech, gdy miał wszelkie szanse dogrania; rozumieć, że człowiek, który z gestem księcia z bajki umiałby rzucić jej pod nogi zrealizowanie najśmielszego kaprysu, może stać się z *wielbiciela wrogiem*, jeżeli przez nią z *jej miny* przegra kilkadziesiąt punktów, gdyby je nawet liczone po groszu.

Pani się asymiluje i po krótkim czasie wkłada męczeńską koronę na ślicznie zarysowane czoło z uśmiechem, pod którym już sama nie odnajduje innych pobudek, jak szczerze do bridge'a zamilowanie.

Ma tylko jedną ambicję — usłyszeć wreszcie, że „gra, jak mężczyzna“. Jeżeli zdarzy się jej kiedy wziąć rekord na konkursie bridge'owym, zapomina ciężaru lat, strawionych nad dojściem do wprawy, i obnosi promiennie swój triumf w gronie znajomych, ciesząc się tą specjalną, nie pozbawioną wiecznego współzawodnictwa płci, radością, „że oto dała *im* nauczkę!“

Pani, gdy już raz uwierzyła w swoje siły, staje się najgorliwszą wyznawczynią bridge'a. Gra w dzień powszedni, w przeddzień święta i w święto; gra u znajomych i we własnym domu; w pensjonacie i domu kuracyjnym; w podróży, w lesie, na plaży — jest dosłownie stracona! I zanim się spostrzeże, że poszła po linii, zakreślonej kiedyś w latach jej młodości *górnej i chmurnej* przez najbliższą sąsiadkę, starszą panią, co tak rzeczowo pouczała ją o dobrodziejstwach haszyszu — już zaczyna dziwić się sama, jak można przechodzić nieopatrznie koło źródła tyłu podniecających szczęśliwości?!

Więc cóż? nie pozostaje chyba nic innego, jak rzec się opozycji i zawołać: „Niech żyje bridge!“... chociaż miałabym tak nieklamana ochotę zdobyć się na indywidualny odruch i powiedzieć — *contra!*

Wanda Dobrzańska.

ROLA WODY W OGRODZIE WARZYWNYM

Źródłem, skąd rola czerpie wodę, jest atmosfera. Deszcze, śnieg, spadając na ziemię, zwilżają jej powierzchnię, nasycają wierzchnie warstwy i przesiekają w głąb, a natrafiając na warstwy nieprzepuszczalne, tworzą wodę zaskórna.

W okresie suchym woda z warstw powierzchniowych paruje bezpośrednio z roli. Rola na wierzchu wysycha i stara się wyrównać swą wilgoć kosztem wody warstw niższych. Woda zaczyna podsiąkać do góry.

Do wysuszenia roli znakomicie przyczyniają się i rośliny, które czerpią wodę nie tylko z warstwy powierzchniowej, ale, sięgając korzeniami do warstw głębszych, ciągną z nich wodę bezpośrednio.

Oslaniają cprawda rolę, chroniąc ją od bezpośredniego parowania, same jednak wyparowują olbrzymie ilości wody, boć powierzchnią parującą jest tu suma wszystkich liści i łodyg, a więc znacznie większa, niż powierzchnia roli, którą zajmują.

Przesiakanie, jak i podsiąkanie wody, zależy od budowy roli, a więc podlega bezpośredniemu wpływowi mechanicznej uprawy. Ogrodnik przez odpowiednią uprawę może regulować stosunek wilgotności w roli, może utrzymać wodę na poziomie głównej masy korzeni roślinnych i w ten sposób przeciwdziałać stratom, polegającym zarówno na przesiekaniu wody w głąb, jak i na parowaniu.

Jesień, zima i wczesna wiosna — to okresy największych opadów atmosferycznych. Musimy więc rolę naszego ogrodu przygotować zawczasu do zebrania jak największej ilości wody, w tym celu trzeba na jesieni ziemię głęboko zorać lub przekopać, pozostawiając w ostrej skibie. Rola spulchniona ułatwi przesiekanie wody w podglebie, gdzie utworzy się jakby rezerwar na całe lato. Nie wolno więc nam zostawić na zimę w ogrodzie ani kawałka ziemi nie przekopanej (nieprzeoranej).

Wiosną zaś, gdy słońce zaczyna mocniej przygrzewać, a wiatry marcowe będą suszyły ziemię, musimy znów się postarać o wstrzymanie parowania, a więc o zachowanie wody w roli. Skoro tylko można będzie wejść w rolę — to znaczy, gdy wierzchnie warstwy już obsiąkną o tyle, że rola przestanie się mazać — trzeba koniecznie powierzchnię wzruszyć bronami, lub (w małym ogrodzie) noveroszami, czy wprost grabiami.

Wprawdzie taka wzruszona powierzchnia prędzej wysycha, ale służy potem, jako ochrona dla warstw głębszych, gdyż przerwane zostało podsiąkanie wody do samej powierzchni parującej.

Powinniśmy unikać w miarę możności, szczególnie tam, gdzie uprawiamy warzywa wysiewane bezpośrednio do gruntu — przekopywania roli na wiosnę, a siał je, spulchniwszy tylko powierzchnią wartswę, tak, byśmy mogli dobrze przykryć nasiona.

Po wysiewie dobrze jest uklepać ziemię, by wywołać ściślejsze połączenie z warstwą głębszą, a co za tem idzie, lepsze podsiąkanie wody, a więc i kiełkowanie nasion.

Po wzejściu wysianych warzyw konieczne jest jak najrychlejsze wzruszenie powierzchni między roślinami, aby znów przerwać parowanie wody i w ten sposób uchronić rolę od wysychania. Następnie po każdym deszczu, gdy woda obsiąknie, a na powierzchni utworzy się skorupa, należy ją jaknajprędzej zniszczyć przez motyczenie ręczne motyką lub noveroszem, albo planetem (ręcznym lub konnym), aby znów zerwać bezpośredni kontakt z głębszymi warstwami i przez to utrzymać w nich wilgoć.

Czynności tej nie należy wykonywać głęboko — wystarczy zruszyć tylko bardzo płytką warstwę roli, ażeby przerwać podsiąkanie.

Utrzymywanie roli pomiędzy roślinami w stanie pulchym ma i tę jeszcze dobrą stronę, że w czasie deszczu woda łatwiej wsiąka w głąb, dzięki temu, iż powierzchnia roli jest porowata i lepiej przepuszcza wodę.

A więc w okresie wegetacji roślin nasza, że tak powiem, „gospodarka wodna“ w ziemi polegać będzie na każdorazowym zruszeniu ziemi po deszczu. Jedną jest jeszcze czynność b. ważna w walce z wysychaniem roli: — to walka z chwastami. Jak już wspominałam, rośliny nie tylko zużywają b. dużo wody z warstw powierzchniowych, ale i wyciągają ją korzeniami z głębi roli. Wyparowują jej kolosalne ilości; tak np. Höhnel obliczył, że brzoza w średnich warunkach wyparowuje 400 litrów wody dziennie, a 1 metr² trawnika zużywa w czasie wegetacji od 400 — 500 litrów wody.

Są to zawrotne wprost cyfry, tembardziej, że roślin tych mamy moc; dlatego też trzeba bardzo starannie niszczyć chwasty wśród roślin uprawnych, aby one nie „ogładzały“ z wody naszych warzyw. Tembardziej, że rośliny dzięki łatwiej przystosowują się do warunków, a znalazłszy je lepsze w ziemi uprawnej, rozrosną się bujnie, zwiększając tem samą swą powierzchnią parującą i zabierając z roli masę wody, którą przecież lepiej zachować dla naszych warzyw.

Dokładne pielienie roli nie tylko zabezpieczy ją od wysychania, nie tylko ochroni rośliny nasze od



największe dobrodziejstwo dla włosów

PIXAVON Shampoo

PIXAVON

„ogłodzenia“ — ale przysporzy nam doskonałego nawozu, który w postaci kompostu może być zwrócony glebie.

Jest jeszcze jeden wzgląd, dla którego powinniśmy dbać o należytą wilgotność roli pod warzywami: woda jest to ów rozpuszczalnik pokarmów roślinnych — dzięki niej rośliny mogą je pobierać. Im więc gleba będzie wilgotniejsza, tem więcej będzie rozpuszczonych części pożywnych, tem łatwiej rośliny mogą je wykorzystać. Dlatego tak usilnie starać się należy, by wodę utrzymać w warstwie tej, w której jest najwięcej korzeni roślinnych.

Wyciągając wnioski z powyższego, można gospodarkę wodną w roli zestawić w następujące dane:

1) Powiększać zapasy wody w roli przez głęboką orkę na jesieni, pozostawiając rolę w ostrej skibie.

2) Na wiosnę możliwie najprędzej zerwać wytworzoną przez zimę skorupę, aby tem samym przerwać parowanie wody.

3) Przez ugniecenie (wałowanie) roli po siewie wywołać podsiąkanie, a więc ułatwić kiełkowanie.

4) Po wzejściu roślin i przez cały czas wegetacji zaoszczędzać wilgoć w roli przez odpowiednie zrywanie skorupy po deszczach, przez co zachowamy wodę w głębszych warstwach, gdzie mogą z niej korzystać rośliny.

5) Starannie usuwać chwasty w czasie wegetacji.

Zofja Wróblewska.

ŚWIĘTA NIE ZA GÓRAMI

Zaledwie tydzień dzieli nas od Świąt Wielkanocnych, a chociaż czasy są wyjątkowo ciężkie, chociaż wszędzie jest ogólny brak gotówki, chociaż wszyscy wkoło narzekają — zbyt dobrze znam naturę Polaków wogólności, a gospodyń polskich w szczególności, abym choć na chwilę wątpić mogła, że za wyjątkiem takiej nędzy, gdzie brak kawałka chleba, wszędzie się znajdzie stół wielkanocny z tradycyjnym święconem.

Panie, pomawiane o lekkomyślność przy urządzaniu zbyt wystawnego święconego, będą miały wytłumaczenie, że od lat wielu nie mieliśmy takiej taniości i takiej obfitości wszelkich produktów, szczególnie drobiu, jaj, nabiału i mięsiwa — podstawowych części składowych święconego, a stanowiących największe pozycje w wydatkach na nie.

Chodzi więc tylko o to, aby w tem urządzaniu

święt zachować pewien umiar, nie przeholować w ilościach, aby do zbytku nie dodać marnotrawstwa.

Więc przedewszystkiem zrobić jakiś preliminarz projektów świątecznych. Zwykle pomiędzy najbliższą rodziną, a również bliskimi przyjaciółmi, zgóry jest umówione, kto, kiedy i u kogo jest na śniadaniu, obiedzie, podwieczorku lub kolacji. Do tych, że tak powiem, podstawowych gości, dopiero w miarę potrzeby lub możliwości, doprasza się, lub sami przybywają rozmaici mniej bliscy, czy bezdomni: kawalerowie, panny, ludzie nieposiadający własnego mieszkania, ani gospodarstwa, których nasza serdeczna, staropolska gościnność specjalnie ciepło przyjmuje.

Otóż do tych zgóry przewidzianych przyjęć winniśmy dostosować skład naszego święconego. Jeżeli, na przykład, mamy jeść w domu tylko ranne śniadanie (choćażby w towarzystwie kilkorga tych serdecznie witanych bezdomnych), a będziemy mieli większe grono gości raz tylko na obiedzie, inne posiłki sami też przyjmując poza domem, — położymy większy nacisk na mięsiwa, sałaty i sosy. Z ciast upieczemy tylko placki i babkę do kawy oraz jakiś tort, lub parę bardzo delikatnych mazurków na deser po tym obiedzie. Jeśli na nas wypadnie przyjęcie wieczorne, które w naszych warunkach, nawet wcześniej rozpoczęte, trwa zwykle do bardzo późna — zaopatrzymy się w większe ilości słodczy, konsumowanych w dużych ilościach przez noc całą, do wina, herbaty i kawy czarnej. Pociąga też to za sobą zrobienie większego zapasu wszelkich zimnych i gorących trunków.

Jeśli zaś z podziału wypadnie na nas tylko podwieczorek, będziemy miały szerokie pole do popisu przy wypieku największej różnorodności bab, mazurków i tortów; a jeśli nawet, co w Warszawie prawie zawsze się zdarza, goście się zasiedzą i trzeba będzie dać herbatę z przekąską, to nas zawsze uratuje szynka, a do niej chrzan i sos majonezowy, kielbasa i jaja na twardo (oczywiście, ładnie farbowane) — niezbędne i jako podstawa pierwszego śniadania, i jako pogotowie ratunkowe przez całe święta.

Tyle — o preliminarzu, że tak nazwę, towarzyskim. Następuje preliminarz wydatkowy, w obecnych ciężkich materialnie czasach, najważniejszy — przy niskich cenach większości produktów, łatwiejszy, niż kiedykolwiek, do ułożenia. Nie potrzebuję chyba dodawać, że przy jego układaniu należy jaknajbardziej unikać artykułów zagranicznych. Są pomiędzy nimi, oczywiście, takie całkiem niezastąpione, jak oliwa na sosy majonezowe (nota bene, też obecnie bardzo tania), jak migdały, których zastąpienie orzechami byłoby o tyle bezcelowe, że orzechy obecnie mamy też wyłącznie zagraniczne (krajowe, w czasie wyjątkowo ostrej zimy z przed dwu lat wszystkie wymarły). Korzenie są artykułem wprawdzie kosztownym, lecz używanym w minimalnych ilościach; zresztą w racjonalnie prowadzonym gospodarstwie nie kupuje się ich nigdy potrochu, w miarę potrzeby, tylko trzyma stale zapas w hermetycznych słoiczkach lub blaszankach, chroniących od wyschnięcia.

Taki preliminarz budżetowy pozostaje, oczywiście, w najściślejszym związku z preliminarzem towarzyskim, postawionym przezemnie na pierwszym miejscu, i do niego stosują się wszelkie uwagi o jakościach i ilościach dań, mających zapełnić nasz stół wielkanocny.

A ponieważ dzisiaj się uparłam przy słowie preliminarz, muszę jeszcze wspomnieć o trzecim, czyli o podziale prac i zajęć przedświątecznych, tak obmyślonych i wykonanych, aby wszelkie zajęcia dodatko-

we, związane ze świętami, jaknajmniej obciążały panią domu i służbę, która w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto, składa się z jednej służącej, ani zbyt umiętnej, ani zbyt chętnej.

Już nie mówiąc o barbarzyńskim zwyczaju wielkich porządków przedświątecznych, których nie wyrzecz się żadna, za dobrze wyszkoloną uchodząca, pomocnica domowa, i które stanowczo muszą być ukończone przed Kwietną Niedzielą, — na każdy dzień Wielkiego Tygodnia prace kulinarne powinny być tak rozłożone, aby nietylko nie przeszkadzały w przygotowywaniu zwykłych posiłków, ani się zaciągały późno w noc, lecz pozwoliły i pani domu i służącej choć raz dziennie pójść do kościoła.

Większa część, nawet wierzących pań domu, wpada w taki gospodarski ferwor przedświąteczny, że zupełnie zapomina o pamiątkach religijnych Wielkiego Tygodnia i o obowiązku ich uczczenia przez krótkie bodaj nabożeństwo, zaczynając od środy do soboty włącznie.

Jeżeli w poniedziałek i wtorek popieczę wcale nie starzejące się mazurki, we środę torty, które pouciera we czwartek w czasie gotowania wędlin, w piątek popieczę baby i pasztety, na sobotę rano pozostawiając już przygotowane i ponadziwane w piątek wieczorem pieczone i sosy do niego — to tak rozłożone prace, nawet przy dużym święconem, nie obciążą zanadto ani pani, ani sługi. A jak miłe im będzie kilka dni odpoczynku od blachy i rondli, no i brak, przez czas dłuższy, roboty przy deserach, które zastąpią wybornem, domowem, ciastem wielkanocnem. *Pani Elżbieta.*

PRZEPISY GOSPODARSKIE

OSZCZĘDNE UŻYCIE DUŻEGO PROSIAKA.

Każda gospodyni radaby na stole Wielkanocnym w swoim domu widzieć jaknajwiększą różnorodność mięsów i innych dań tradycyjnych. Rezultatem tego jest jednak przeważnie duża ilość pozostałych resztek, które nie zawsze dosyć prędko zużyć można, a przechować w ciepłe dni wiosenne też nie sposób.

Aby uniknąć marnowania cennych przysmaków, należy je robić w możliwie niedużych ilościach. Na przykład: jeżeli mamy duże, tłuste prosię (wagi około 7 — 8 kilo), możemy je zużytkować w sposób następujący. Oczyszczonego i wypaproszonego prosiaka rozciąć wpoprzek na połowę. Tylną część nadziać farszem, otwór, utworzony przy rozcięciu, zaszyć kawałkiem płótna i upiec to, smarując często słoninką, aby skórka była rumiana i chrupiąca (niektóre gospodynie zamiast słoniny używają oliwy, co też daje doskonale rezultaty). Na nadzienie użyć: wątróbkę, płuca, nerki i serce prosięcia, podduszone ze sporym kawałkiem słoniny, dodać parę rozmoconych i odcisniętych bułeczek, przepuścić przez maszynkę, osolić, opieprzyć, dodać jasko.

Uciąć prosięciu wszystkie cztery nóżki, główkę i wyjąć kości z przedniej połowy prosięcia. Z ćwierci kilo wątróbki cielęcej i pół kilo cielęciny zrobić farsz, dodać jaj na twardo, kornisonów, szynki krajanej w paski, zrobić (według przepisu, niedawno podanego w „Bluszczu“) roladę i trzymać ją do chwili użycia w płótnie, zmoczonem octem.

Nakoniec z główki, nówek i kości, wybranych z przedniej części prosiaka, przy których po ugotowaniu znajdzie się jeszcze sporo mięsa, zrobić foremkę galarety, dodając żelatyny dla mocy, a dla ozdoby jaj na twardo, marchewki, kornisonów, cytryny, zielonej pietruszki. Galaretka długo stać nie może; chcąc podać na stół w pierwsze święto, należy ją ugotować w Wielką Sobotę.

PIRAMIDA Z RZEZUCHY.

Zielona piramida z rzeżuchy — dawne arcydzieło wiejskich ogrodników — jest niesłychanie łatwa do wykonania, o ile posiadamy okrągłą deseczkę (naprzykład denko od baryłki, czy beczałki) i kilka giętkich prętów leszczyny lub łoży. Deseczka powinna mieć około 50 cm. szerokości, pręty, mocne i równe, powinny być metrowe. Może ich być sześć lub osiem. Na palec od brzegu deseczki należy zrobić w równych odstępach nieduże otwory w ilości podwójnej w stosunku do ilości prętów. Zgięte pręty wstawiamy w otwory, przymocowując każdy cienkim ćwieczkiem. Następnie owijamy je równo lnianymi pakułami, takimiż pakułami wykładamy równo deseczkę, dobrze maskując jej brzegi.

Dwie szklanki nasion rzeżuchy zalewamy podwójną ilością wody, o temperaturze pokojowej. Po upływie dnia lub dwóch, gdy nasienie rozmoknie i uformuje się jakby lepka kasza, smarujemy nią cienko i równo pręty i dno naszej piramidy. Dalej pozostaje już tylko cztery razy dziennie obficie a ostrożnie skrapiać piramidę wodą o pokojowej temperaturze. W dziesięć dni zazieleni się ślicznie i może stanowić środek stołu wielkanocnego. Na szczycie takiej piramidy ustawiamy baranka z chorągiewką, a w środek wkładamy bądź główkę wieprzową z czerwonym jajkiem, bądź jaja farbowane, ułożone na talerzu, czy na salaterce.

GALANTYNA Z PULARDY.

Dużą, mięsistą pularę lub kapłona rozkrajając ostrożnie przez grzbiet, wybierając jednocześnie wszystkie kości i wnętrzości, lecz nie naruszając mięsa z piersi, które powinno pozostać przy skórze. Pozostałe przy kościach mięso oskrobać, dodać doń kilo najlepszej, białej wieprzowiny, przepuścić ze trzy razy przez maszynkę. Wbić trzy jaja całe, osolić, dodać gałki muszkatołowej i białego pieprzu, wlać kieliszek madery i doprawić kilku kroplami Maggi. Przygotować dziesięć deka krajanego w paski ozora, tyleż szynki, tyleż słoniny wędzonej, jeśli kogo na to stać, parę trufli, pokrajanych w cieniučne płatki, i kilkanaście ziarn zielonych pistacyj, obranych z łupin i skórki.

Pularę rozłożyć na stolnicy, układać farsz, przekładając rządami dodatków wzdłuż, aby przy krajaniu ładnie wyglądały. Gdy pełno, zaszyć mocno grubymi niemi. Obwiązać galantynę płótnem, osznurować szpagatem. Do rondla włożyć kości i dróbka z pulardy, galantynę zalać wodą, aby objęło, i ugotować. Zsumować, osolić rosół, dodać marchwi i pietruszki. Gotować wolno najmniej dwie godziny — jeśli pulara stara, nawet do trzech godzin. Zdjąć z ognia; gdy nieco przestygnie, wyjąć z rosółu, ułożyć na desce, rozsznurować, zdjąć płótno, napowrót w nie zawiązać, przycisnąć deseczką i kamieniem na całą noc.

Smak wygotować na galaretę, dodać trochę żelatyny (na szklankę listek), sklarować białkiem, rozbić z łyżką octu, precedzić, zakolorować paru kroplami karmelu na bladło-żółcisty kolor. Wylać na głęboki półmisek i zastudzić. Podając, krajać galantynę w cienkie plastry, ubrać wkóło i powierzchni tą galaretą i świeżą zielenką. Do niej podać sos majonezowy zwykły, lub zielony (sauce verte).

CIELEĆCINA SZPIKOWANA.

Ładną ćwiartkę cielęciny sparzyć dwa lub trzy razy octem po połowie z wodą i w tej marynacie pozostawić na dwadzieścia cztery godziny. Naszpikować wędzoną słoniną, grubo krajaną i utarzaną w majeranku z białym pieprzem. Piec, jak zwykle, polewając narazie masłem, następnie zamiast wody, oc-

SHAMPOO ELIDA ZADANIE PREMJOWE

...SUMA NAGRÓD ŻŁ. 26.250.—

1. Nagroda Żł. 1.000.— w gotówce
2. Nagroda Żł. 500.— w gotówce
3. Nagroda Żł. 250.— w gotówce

i 3.130 dalszych nagród w postaci cennych kasetek z wyrobami Elida ogólnej wartości Żł. 24.500.—

Poniżej podajemy 4 główne zalety Szamponu Elida:

jest on tani
doskonale oczyszcza włosy
jest nader wydajny w użyciu
nadaje włosom jedwabistą puszystość.

Zalety te należy oznaczyć numerami od 1 do 4, w takim porządku, jaki uważa się za właściwy dla ważności tych zalet i nadeść najpóźniej 2 maja odpowiedź na karcie pocztowej pod adresem: Elida Sp. z o. o. Warszawa Skrzynka pocztowa Nr. 296 Nie zapominajcie podać także swego adresu!

★ Pierwszą nagrodę otrzyma ten, czyja odpowiedź będzie odpowiadała ustanowionemu przez nas porządkowi idealnemu zalet Szamponu Elida. W razie większej ilości prawidłowych odpowiedzi, o przyznaniu nagród rozstrzyga los. Rezultaty Konkursu ogłoszone będą w tem piśmie dnia 31 maja b. r. Żądajcie kart do odpowiedzi w drogerjach i perfumerjach.



ELIDA SP. Z O. O. WARSZAWA

tem, w którym się marynowała, a na koniec kwaśną śmietaną. Pieczeń wyjąć na półmisek, sos zaprawić łyżką mąki, zagotować, aby był dobrze zawieszisty. Stygnącą pieczeń polewać kilkakrotnie tym sosem, aby zastygł na niej dosyć grubą warstwą. Taka cielęcina jest znacznie mniej mdła od zwykłej pieczeni cielęcej. Odpowiednim do niej dodatkiem są marynaty octowe, lub ostry sos tatarski.

BABKA CHLEBOWA.

Nakrajać cienkie płatki dobrego, prawdziwie razowego chleba, ususzyć doskonale, utłuc w moździerzu, przesiał przez sito. Oddzielnie utłuc kawałek cynamonu, z pięć goździków, strączek kardamonu i utrzeć trochę skórki cytrynowej. Mąki chlebowej wziąć jedną pełną szklankę. Piętnaście żółtek utrzeć do białości z czterdziestoma deka cukru-pudru, dodać zapachy. Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, po łyżce dodawać do utartych żółtek, przesypując jednocześnie mąką chlebową. Gdy się dokładnie zmiesza, natychmiast przełożyć do płaskiego rondla, wysmarowanego masłem i wysypanego bułeczką. Piec około godziny w bardzo umiarkowanym piecu. Próbować cieniuchnym patyczkiem: gdy wychodzi czysty — babka gotowa. Wyjmować bardzo ostrożnie, aby nie opadła. Można tę babkę polukrować pomadką czekoladową.

**BEZ FARBOWANIA SIWIZNA ZNIKA —
SIWIENIE ZOSTAJE
POWSTRZYMANE**

Porady, prospekty wysyła przedsta-
wiciel prof. Póhlovej, Warszawa,
Marszałkowska 97a m. 0.

MAZUREK FIGOWY.

Trzydzieści deka mąki pszennej, dwadzieścia deka masła i dziesięć deka cukru zagnieść na kruche ciasto. Wynieść na godzinę parę na chłód. Rozwałkować bardzo cienko, nadając kształt wydłużonego czworokąta, z obrzynków porobić wałeczki i uformować z nich wkoło rancik. Upiec do lekkiego zrumienienia i ostudzić. Dwie szklanki dobrego mleka lub niegęstej śmietanki gotować z dwiema szklankami cukru, aż gęstnieć zacznie, dodać pięć deka najlepszego śmietankowego masła, kawałko utłuczonej wanilii i dwadzieścia deka drobno pokrajanych fig. Masą tą posmarować ciasto i zastudzić. Pięć deka migdałów słodkich, oparzonych i obranych z łupinek, pokrajać w jak najcieńsze piórka i posypać nimi stygnącą figową masę, co bardzo ozdabia mazurek.

MAZUREK MAKARONIKOWY Z MORELAMI.

Zrobić kruchą podstawę, jak do mazurka figowego. Dwadzieścia deka suszonych moreli namoczyć na noc w zimnej wodzie. Zrobić gęsty syrop z dwudziestu deka cukru i pół szklanki wody, usmażyć w nim rozmoczone morele (przez noc powinny wypić całą wodę i stać się, jak świeże). Ostudzonemi morelami równo pokryć całą podstawę. Dwadzieścia deka migdałów słodkich i kilka sztuk gorzkich sparzyć, obrać z łupinek, osuszyć przez godzinę kilka na złożonym w kilkoro płótnie, lub w letnim piecyku. Utrzeć na drobnej tarce. Zmieszać z dwudziestoma deka cukru-pudru. Sześć białek ubić na sztywną pianę, ostrożnie wymieszać z cukrem i migdałami, pokryć tą masą mazurek. Wstawić na pół godziny do bardzo umiarkowanego pieca, aby masa makaronikowa leciuchno się zrumieniła i więcej uschła, niż upiekła się.

TORCIK W OPLATKACH:

Są w handlu specjalne oplatki wafłowe, używane przy wyrobie torcików pralinowych. Na torcik potrzeba sześć takich oplatków, okrągłych lub czworokątnych, rozmiaru zwykłego talerza. Przyrządzić masę następującą: dwadzieścia deka migdałów słodkich i kilka sztuk gorzkich, oczyszczonych z łupinek, utrzeć na tarce lub na maszynie. Dziesięć deka masła śmietankowego utrzeć na śmietaną, trzy żółtka utrzeć do białości z dwudziestoma deka cukru-pudru. Zmieszać to wszystko razem i posmarować grubo a równo trzy oplatki. Dwa oplatki posmarować galaretą porzeczkową, lub jakimi konfiturami, doskonale osączonemi z syropu. Ułożyć oplatki jeden na drugi, naprzemian te z migdałami i te z konfiturami. Przykryć szóstym

oplatkiem, nakryć deseczką, przycisnąć ciężarkiem i tak pozostawić na noc. Nazajutrz polukrować pomadką czekoladową.

Pani Elżbieta.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Zofji R. z Katowic. — Niesłusznie określa Sz. Pani swe troski jako *blahe*, niepotrzebnie odczuwa wyrzuty sumienia, zwracając się do nas o radę. Służymy nią zawsze chętnie i cennymy sobie zaufanie naszych Czytelniczek.

Czyż można dziwić się, że w przededniu świąt Wielkanocnych wiosenne porządki domowe usuwają na dalszy plan wszelkie inne kłopoty? A to, że Sz. Pani pragnie się dowiedzieć, jakie są pasty, płyny i proszki, godne polecenia i *pewne*, świadczy tylko o tem, że dba o poprawne wyniki podjętej pracy.

Otóż możemy polecić wszystkie wyroby firmy DOBROLIN. Pasta do podłóg na czystej terpentynie, bezbarwna do posadzek, w kolorach *orzech* lub *mahoń*, do podłóg olejnych jest niezastąpiona. Froterować trzeba w godzinę po natarciu podłogi, szczotką ręczną lub szczotkami nożnemi, poczem przetrzeć suknami a polysk będzie piękny i trwały.

Możemy polecić też Sz. Pani: *płyn do czyszczenia metali, proszki do szorowania i czyszczenia naczyń kuchennych, mydła, wybielanie płam, pastę do obuwia*. Wszystko tej samej marki. Jesteśmy przekonani, że posługując się DOBROLINEM, będzie Sz. Pani zawsze zadowolona, gdyż na podstawie doświadczenia zaręczyc możemy, że wyroby tej firmy spełniają doskonale swoje zadanie, nie niszczą przedmiotów, nadają im polysk trwały i są godne polecenia.

DROBNE OGŁOSZENIA

CHCIAŁABYM spędzić miesiąc na wsi latem. Umiem dobrze szyć. Może która z pań zechciałaby przyjąć mnie do siebie, wzamian za pracę. W. S. z Łodzi. Adres w Redakcji „Bluszczu“.



Srodek tak wspaniale usmie-
rzający bóle, jest często przed-
miotem podrabiania. Dla-
tego też przy bólu głowy i
zębów, przeziębieniu, reuma-
tyzmie, należy przyjmować
tylko tabletki, które jak i
opakowanie opatrzone są
znakiem BAYER.

ISTNIEJE TYLKO JEDNA ASPIRINA! 466

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcza“. Rymarska 8, tel. 244-18.